MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 11 WARSZAWA, 15 KWIETNIA 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

RADYKALIZACJA MAS

NAJISTOTNIEJSZYM faktem, który ujawniły wybory, jest zradykalizowanie mas. Powody tego przesunięcia się społeczeństwa na lewo są różnorodne; jedne z nich są raczej natury przypadkowej, inne tkwią głębiej w psychice ludności.

Pewne połaci Polski od wyborów do pierwszego sejmu ukazały swe oblicze radykalne. Dotyczy to południowych powiatów byłego Królestwa Kongresowego (Kieleckie, Sandomierskie, Lubelskie). Niewątpliwie odgrywają rolę w tych nastrojach stosunki agrarne, np. wielkie rozdrobnienie ziemi. Byłoby rzeczą ciekawą zbadanie, czy mapie politycznej nie odpowiada mapa antropologiczna, czy różne typy rasowe, rozsiedlone na ziemiach rdzennie polskich, nie reagują odmiennie na sprawy polityczne.

Jednakże obecne wybory w zestawieniu z poprzedniemi stwierdziły, że fala radykalizmu rozlała się Szeroko i na te okolice, których ludność cechowało dotychczas umiarkowanie, że wtargnęła ona do północnych i zachodnich powiatów byłej Kongresówki, do Poznańskiego i na Pomorze.

Po części omawiany objaw można położyć na karb konjunktury politycznej. Przy pierwszych wyborach sejmowych reakcja przeciwko rządom gabinetu Moraczewskiego przechyliła szanse powodzenia na stronę żywiołów narodowych. Przy wyborach ostatnich wystąpiły skutki przewrotu majowego, który poparły czynnie stronnictwa lewicowe. Echo ówczesnego zwycięstwa odezwało się w marcu bieżącego roku. Po wypadkach majowych masy oczekiwały zapowiadanych wówczas w agitacji zmian politycznych i społecznych w kierunku skrajnym, jako konsekwencji pokonania „reakcjonistów". Ugruntować się musiało przekonanie, że te zmiany przeprowadzić można siłą, przemocą, bez liczenia się z prawem. Takie nastroje są oczywiście wodą na młyn radykalny. Prócz tego rządy pięcioletnie poprzedniego, zohydzonego w opinji publicznej sejmu sprawowane były pod flagą stronnictw umiarkowanych. Aczkolwiek w rzeczywistości układ sił w sejmie zmuszał do kompromisu, a kompromis szedł naogół po linji postulatów lewicy, mającej sojusznika w żywiołach środka, nie umiejących się wyzwolić z pod czadu haseł demagogicznych, jednakże dzięki zręcznej taktyce lewicy odpowiedzialność za rządy w oczach szerokich, słabo orjentujących się rzesz spadała na stronnictwa umiarkowane. Te właśnie ugrupowania za naczelne zadanie w minionym okresie postawiły sobie naprawę skarbu. Ratowanie zaś finansów jest zawsze połączone z przesileniem gospodarczem, ze zwiększeniem ciężarów podatkowych i trudnościami gospodarczemi i nieuchronnie powoduje niepopularność tych, którzy to zadanie przeprowadzają i je popierają.

System stosunkowy wyborów nie pozwala na wykazanie wartości głoszonych haseł i programów. Nawet inteligentniejszy wyborca, czytający gazety, nie potrafi zdać sobie sprawy, które ugrupowanie sejmowe wpłynęło na takie, czy inne postanowienie prawodawcze, a tembardziej nie jest zdolny do rozeznania się, jaki np. program ekonomiczny zapanował w działalności państwowej. W takich warunkach górą są ci, którzy uprawiają najskrajniejszą demagogję, bowiem wszelkie niedomagania, odczuwane przez ludność, przypisują oni postępowaniu przeciwników. Wyborca zaś wyraża niezadowolenie z istniejących stosunków przez poparcie tych partyj, które zapowiadają najszybsze i najgwałtowniejsze zmiany.

Wszelako, jak powiedziałem, powyższe przemijające okoliczności polityczne tylko w pewnej mierze

tłumaczą powodzenie lewicy. Trzeba zdawać sobie sprawę, że istnieją stalsze czynniki, pracujące na rzecz zradykalizowania społeczeństwa.

Przedewszystkiem mamy w Polsce względne przeludnienie. Co roku przybywa około 400 tysięcy nowych obywateli; emigracja zarobkowa, która pochłaniała przed wojną ogromną część przyrostu naturalnego ludności, została zarządzeniami państw, do których skierowywał się nadmiar ludności polskiej, zahamowana. Po wsiach i miasteczkach jest coraz więcej ludzi, nie mających widoków znalezienia stałego zarobku, a przemysł krajowy nie będzie zdolny przez długie lata zatrudnić dorastających pokoleń, warunki bowiem gospodarcze nie rokują mu szybkiego rozwoju.

Następnie jesteśmy świadkami zmiany psychiki ludności wiejskiej, czego nie uświadamiają sobie dostatecznie te sfery, które przyzwyczajone były do kierownictwa opinją publiczną. Prądy polityczne, społeczne i religijne powoli od warstw górnych, które je wytwarzały lub przejmowały, przedostają się za pośrednictwem półinteligencji do szerokich mas. Masy przyswajają je sobie z dość dużem opóźnieniem, tak samo jak przyjęły obyczaje i zwyczaje dawniej panujące wsród szlachty.

Zamożny i w swem życiu codziennem konserwatywny włościanin francuski głosuje na radykalistów społecznych lub nawet socjalistów, popiera politykę antykościelną rządu i jest wyznawcą haseł Wielkiej Rewolucji. Te poglądy, które kiedyś szerzyła inteligencja francuska, owe wyblakłe i wyświechtane idee XIX wieku przesiąkły, naturalną koleją zjawisk kulturalnych, do ludu. I chociaż przodujące pod względem umysłowym sfery we Francji odwróciły się od tych idej, chociaż młoda inteligencja w ogromnej większości jest katolicka i monarchistyczna, musi znowu upłynąć dłuższy okres czasu, zanim te poglądy staną się obiegowemi i zdobędą dla siebie masy ludowe, tak jak je zdobywały hasła radykalno-republikańskie; chyba że jakiś gwałtowny przełom polityczny przyśpieszy, wzorem włoskim, tę przemianę.

Niewątpliwie i w Polsce hasła postępowe i radykalne, wyznawane dawniej przez przeważającą część inteligencji, stały się obrokiem duchowym wartw półinteligencji, a za ich pośrednictwem dotarły do młodszych pokoleń ludowych.

Dawne autorytety, których wpływ związany był ze stanowiskiem i majątkiem, znikają. W epoce demokracji ustalenie się nowych autorytetów jest rzeczą bardzo trudną, podważenia zaś starych dokonać bardzo łatwo. Zwłaszcza w społeczeństwie polskiem, z właściwem mu dążeniem arystokratycznem, dążeniem do pięcia się w górę. To dążenie jest ułatwione przez nasz swoisty rozwój dziejowy. Polska nie przeszła przez okres feudalizmu, nie wytworzyły się również w poszczególnych stanach odrębne, sobie wystarczające kultury, była tylko jedna kultura szlachecka. Stąd łatwość podnoszenia się ku górze. W więcej energicznych i oświeconych jednostkach z warstw ludowych i średnich w stopniu daleko wyższym, niż w państwach zachodnich, grają ambicje polityczne. A zaspokoić je można najszybciej przez front radykalny, przez nawoływanie do gwałtownych zmian i przewrotów. Nie należy sobie wyobrażać popleczników np. „Wyzwolenia", jako wyłącznie ciemnego, odurzanego demagogją i borykającego się z nędzą proletarjatu wiejskiego. Najzagorzalszych zwolenników ma to stronnictwo wśród włościan zamożniejszych i inteligentniejszych, a pochopnych na wszelkie „nowinki". Wiele w tym ruchu ludowym jest analogij do tego okresu w dziejach naszych, kiedy rzeszę szlachecką ogarnęły ambicje polityczne i społeczne. Wówczas również przyjmowano żarliwie „nowinki" i zwalczano magnatów świeckich i władze duchowne.

Radykalizmowi sprzyja usunięcie się od pracy społecznej i kulturalnej inteligencji prowincjonalnej. Przytroczyła ją do siebie troska o byt materjalny. Wzmagający się etatyzm uzależnił byt znakomitej większości od czynników państwowych, przez co skrępował swobodę jej ruchów.

W życiu zbiorowem wogóle wysunęło się na plan pierwszy hasło obrony interesów zawodowych, materjalnych. Wobec zubożenia ideowego warstw oświeconych i wskutek tego braku zainteresowania wielkiemi zagadnieniami narodowo-politycznemi, interesy gospodarcze stały się zagadnieniami naczelnemi, a ta ich przewaga wywoływać musi w poglądach mas, rozumiejących jedynie doraźne korzyści ekonomiczne, a niezdolnych ocenić wyników na dłuższą metę, wzrost egoizmu stanowego i osobistego, wzrost dążeń radykalnych.

W społeczeństwie biednem etatyzm ma najżyźniejsze podłoże do rozwoju. W Polsce obecnie bodaj celowo rząd dąży do ingerencji daleko idącej w życie gospodarcze, do uzależnienia od siebie największych rzesz. Etatyzm siłą rzeczy prowadzić musi do uwzględniania przedewszystkiem interesów spożywców, a ci, jako masa, będą zawsze reprezentowali dążenia radykalne pod względem społecznym.

Wyszczególniając czynniki, sprzyjające hodowli radykalizmu, daleki jestem od fatalistycznego poglądu, że fala radykalizmu opaść nie może. Prędzej czy później doświadczenie nauczy społeczeństwo, że dobrobyt jego zależy przedewszystkiem od wzmożenia produkcji, od narastania kapitałów i możności ich bezpiecznego użycia dla celów wytwórczości, czyli wymowa życia zwalczać będzie radykalizm społeczny. Nie posuwam również za daleko analogji z polityczną radykalizacją we Francji, właśnie z powodu zaznaczonej różnicy w rozwoju dziejowym. Łatwiej i szybciej w Polsce oddziaływać może na masy inteligencja ze względu na jedność kulturalną. Biurokracja u nas nie zastąpi dawnych autorytetów, ale inteligencja, nawróciwszy do pracy społecznej, może rychło uzyskać należne jej wpływy na lud, może zbudować hierachję moralną.

BOHDAN WASIUTYŃSKI

IDEA FEDERACJI DAWNIEJ I DZIŚ

SĄ WŚRÓD Polaków ludzie najlepszej woli i dobrze życzący Polsce, którzy dążą do wprowadzenia w państwie naszem ustroju federacyjnego. Jasne jest, że jeśli tacy patrjotycznie nastrojeni Polacy pragną zniszczenia jednolitości ustroju państwowego, to muszą kierować się pod tym względem innemi pobudkami niż te, które przyświecają wrogom Polski. Trzeba bowiem pamiętać, że nasi wrogowie wewnętrzni i zewnętrzni stawiają również postulat federacyjnego ustroju państwa polskiego. Przedewszystkiem jednakże ważne jest rozpatrzenie motywów, któremi kierują się prawi Polacy, miłujący Ojczyznę. Ich bowiem słowa, ich argumenty mają dla ogółu wartość pozytywną, gdyż, pochodząc od ludzi uczciwie myślących, łatwo pociągają szersze kręgi osób apolitycznych i zmysłem krytycznym nie obdarzonych. Poznajmy więc te motywy i postaramy się należycie ocenić ich wartość.

Najobfitszem i najbardziej pociągającem źródłem, skąd płyną intencje i żądania zwolenników federacyjnego ustroju w Polsce, są reminiscencje historyczne. Za *motto* do postulatów politycznych obecnej doby brane są pewne wielkie hasła z różnych momentów naszej historji, które przetrwały po dziś dzień w umyśle przeciętnego inteligenta polskiego i stały się formułami utartemi, to jest takiemi, nad których znaczeniem właściwie nikt się już nie zastanawia. Przypomina się więc Polakom tak sympatyczne hasła jak: Unja Polski z Litwą; „wolni z wolnymi, równi z równymi"; „Polska, Litwa i Ruś"; „za naszą i waszą wolność". Cóż słuszniejszego, niż szukanie w przeszłości narodu wskazań dla budowania gmachu jego przyszłości? Trzeba tylko umieć szukać i znaleść właśnie to, co jest potrzebne dla polityki aktualnej. Zastanówmy się więc nad wartością dla chwili obecnej przytoczonych haseł, które mają służyć do historycznego uzasadnienia potrzeby wprowadzenia w Polsce ustroju federcyjnego.

Unja! Co za wspaniałe wspomnienie z czasów naszej świetności i potęgi! Pierwowzorem tu była unja Polski z W. Ks. Litewskiem. Ale nietylko Litwa łączyła się dobrowolnie z Polską. Właściwie poza Inflantami żadna z ziem, które weszły w skład Rzeczypospolitej, nie była zdobyta siłą oręża polskiego. A nawet ziemie, które pozostały poza państwem polskiem, poddawały się dobrowolnie jego zwierzchnictwu jako księstwa lenne. Dlaczegóż więc i dziś coś podobnego nie mogłoby nastąpić? Dlaczego nie próbować tej samej polityki, które wówczas bez gwałtu, bez przymusu tak znakomicie rozszerzyła obszar i wpływy Rzeczypospolitej?

Pewnie. Przykład jest zachęcający. Zanim jednak przystąpić do jego wznowienia, należałoby przedewszystkiem przypomnieć sobie fakty i ustalić bieg wypadków historycznych. Rozpatrzmy klasyczny przykład unji Polski z Litwą. Zawarta ona została poraz pierwszy w końcu XIV w. przez ślub Jagiełły z Jadwigą. Była to wówczas unja tylko personalna, raz po raz zrywana, to znów nawiązywana, stopniowo jednak zacieśniała ona węzły między obu państwami i narodami i mnożąc punkty łączności, zmieniała ustrojową formę. Blisko dwa stulecia trwały owe przeobrażenia aż wreszcie w r. 1569 wiekopomnym aktem Unji Lubelskiej unja personalna z czasów Jagiełły przekształciła się pod Zygmuntem Augustem w unję realną. Odtąd Polska i Litwa stanowiły jedną Rzeczpospolitą; pozostały tylko odrębne urzędy i tytuły. Nie był to już podówczas związek między tronami i dynastjami, lecz wspólność dwu narodów. Ta właśnie wspólność znalazła wyraz w haśle: wolni z wolnymi, równi z równymi. Tylko jedność celów i dążeń politycznych, tylko wspólność patrjotyzmu państwowego mogły tego rodzaju hasło zrodzić. Szlachcic litewski, wchodząc w poczet szlachty polskiej stawał się przez ten fakt członkiem narodu, wspólnego, jednolitego narodu w dzisiejszym, politycznym sensie tego słowa. Jako członek narodu, który już wówczas w Polsce zdobywał sobie władzę najwyższą, zyskiwał sobie szlachcic pochodzenia litewskiego, ruskiego, czy białoruskiego równorzędne ze szlachcicem polskim stanowisko wolnego obywatela państwa. Przeminęły jeszcze dwa wieki i przed samemi rozbiorami aktem Konstytucji 3 maja zadokumentowana została zupełna jednolitość ustroju państwowego. Przedsięwzięta w międzyczasie próba wprowadzenia trjalizmu do ustroju Rzeczypospolitej (Polska, Litwa i Ruś) spełzła na niczem. Traktat hadziacki, zawarty po śmierci Bohdana Chmielnickiego z Janem Wyhowskim, a przez który Ukraina prawobrzeżna od Dniepru po Słucz i Boh miała uzyskać w Rzeczypospolitej autonomiczne stanowisko, pozostał martwą literą. W przeddzień tedy utraty niepodległego bytu politycznego Polska była państwem jednolitem a nie związkiem federacyjnym państw i narodów. O tem wyniku dziejowego procesu unifikacji zapomnieli ci, którzy w dzisiejszej Polsce chcą przeprowadzać unję. Pocóż ją robić, skoro ona już dawno została przeprowadzona. Poco sięgać do w. XIV lub do późniejszych momentów z XVI i XVII stulecia, które już dawno doprowadziły do pewnych konkretnych wyników historycznych. Jeśli się chce nawiązać nić historycznej ciągłości, to trzeba ją nawiązać w tym punkcie, w którym nić owa została przerwana. W chwili upadku Rzplitej stopniowe i długoletnie przeobrażenie unji doprowadziło Polskę do jednolitego ustroju państwowego. Taki więc ustrój, będący naturalnym wynikiem wiekowego procesu rozwojowego, winien być i pozostać niewzruszalną podstawą do budowy i rozwoju odrodzonego państwa polskiego.

Przeciwko tej tezie zwolennicy federalizmu polskiego występują z następującem zastrzeżeniem: oświadczają oni, że dawna unja Polski z Litwą była dziełem jedynie magnatów i szlachty; lud w tej sprawie wcale nie był pytany o zdanie. Dzisiaj zaś żyjemy w czasach demokratycznych, i masy ludowe, nie polskie, powinny same oświadczyć się, czy i w jakim stopniu chcą utrzymania związku z Polską. Rozumowanie takie uznać trzeba za całkowicie błędne. Dziedzictwo legowane przez historję przyjmuje się w całości: to, co zostało zrobione, co prawnie było postanowione lub zawarte w imieniu państwa i narodu przez przodków, musi być przez pokolenia późniejsze uznane za ważne i nie może być podawane w wątpliwość z powodu, iż ustrój ówczesny narodu i państwa nie zgadzał się z jego ustrojem dzisiejszym. Gdyby rzecz można było ujmować inaczej, tobyśmy z równą słusznością mogli zaproponować ludowi litewskiemu powrót do pogaństwa, albowiem chrzest Litwy był dziełem Jagiełły i on wcale ludu swego się nie pytał, czy godzi się na przyjęcie religji chrześcijańskiej. Lud litewski, ruski czy białoruski nie potrzebuje wcale być obecnie pytany o to, czy on chce związku z Polską, bo ten związek jest już faktem historycznym, dokonanym prawnie i dobrowolnie przez ich przodków i tego faktu nie może on przekreślić, jeśli nie chce zerwać

związku z własną historją i własną Ojczyzną. Dzieje długich wieków uczyniły to, iż Polska, Litwa i Ruś zlały się w nierozłączną całość, że utworzyły wspólny naród i jednolite państwo. O powstaniu na terytorjum dawnej Żmudzi niepodległego państwa litewskiego zadecydowały inne motywy, nie argumenty historyczne, gdyby bowiem one były wzięte w rachubę na konferencji paryskiej, toby Litwa Kowieńska włączona być musiała do państwa polskiego, którego integralną częścią była przed upadkiem Rzeczypospolitej. Skoro stało się inaczej i Litwa Kowieńska po wojnie światowej uzyskała niepodległość państwową, to unja dzisiejszej Polski z dzisiejszą Litwą może się stać nowym problematem polityki zagranicznej obu tych państw. Zachowany jednak musi być przy tem jeden kardynalny warunek. Gdyby taka unja kiedyś miała przyjść do skutku, nie powinna ona w żadnym razie doprowadzić do tego, aby jakakolwiek z ziem, wchodzących ongi w skład W. Ks. Litewskiego, a będących dziś integralną częścią naszego państwa, została wyjęta z pod jednolitego ustroju, jakiemu podlega cała Polska. Taki wynik unji byłby aktem destrukcyjnym a nie rozszerzeniem wpływów Polski na dalsze tereny.

Wreszcie ostatnie z przytoczonych haseł historycznych, będące hasłem powstańców, bijących się „za naszą i waszą wolność", nie może być przytaczane jako uzasadnienenie rozbijania jednolitości państwa i wprowadzania doń ustroju federacyjnego. Zrozumiemy to łatwo, jeśli sobie przypomnimy, że 1-o) Litwa i Ruś nie były wojenną zdobyczą Polski, że nie zostały przez nią ujarzmione siłą, lecz złączyły się z nią aktem dobrowolnej zgody; 2-o) po upadku Rzeczypospolitej litwini i rusini, na równi z Polakami byli we wspólnej niewoli pod jarzmem obcych zaborców, i 3-o) litwini i rusini brali udział w powstaniach polskich, mających na celu wywalczenie wspólnej wolności i niepodległości politycznej państwa polskiego. Kiedy więc po wielkiej wojnie Polska wróciła do niepodległości, nietylko Polacy, ale litwini i rusini, którzy w skład Rzeczypospolitej wchodzili, odzyskali wolność, utraconą w końcu XVIII w. Taki był sens okrzyku powstańczego „za naszą i waszą wolność" w stosunku do polskich litwinów i rusinów. Niema więc żadnej racji do wyprowadzania zeń wniosku, że powstańcy, bijąc się z zaborcami, mieli na celu rozbijanie jednolitości Polski i zerwanie historycznej unji z Litwą i Rusią.

Widzimy więc, że żaden argument historyczny nie uzasadnia wprowadzenia w Polsce ustroju federacyjnego. Przejdźmy do innej grupy argumentów. Postarajmy się rozpatrzyć ten problemat z punktu widzenia celowości. Spytajmy się, jaki interes ma Polska w przerobieniu swego ustroju jednolitego na federacyjny i jakie z tej zmiany mogą wyniknąć konsekwencje polityczne?

Do uzyskania jasnej na to odpowiedzi musimy dojść przez wyjaśnienie sobie kilku kwestyj, będących logicznemi przesłankami właściwego problematu. Rozpatrzmy najpierw dziedzinę polityki wewnętrznej.

Wprowadzenie ustroju federacyjnego do dzisiejszej Polski mogłoby nastąpić przez nadanie autonomji politycznej ziemiom północno-wschodnim i południowo-wschodnim naszego państwa. Przez taką reformę stworzoneby zostały odrębne i lokalne centra życia politycznego. Musiałyby wówczas powstać miejscowe władze i urzędy polityczne, reprezentowane i obsadzane przez ludzi miejscowych. Jakie są racje polityki wewnętrznej, któreby potrzebę takiej autonomji uzasadniały? Pierwszą racją miałby być tutaj fakt, że obszary północno i południowo-wschodnie a więc białoruskie i ruskie są terenami, zamieszkałemi przez ludność mieszaną i że Polacy są tam w liczbowej mniejszości. Otóż niewątpliwie, biorąc rzeczy sumarycznie, fakt taki istnieje. Uwzględniając ogólne cyfry dla całości ośmiu naszych województw wschodnich, możemy ustalić, iż Polacy stanowią tam 45,2% ogółu ludności, a wiec mniej, niż połowę. Nie trzeba jednak zapominać, że w województwie wileńskim liczba Polaków wynosi 57,4%, w Nowogródzkiem 59%, w Białostockiem 76,5%, w Lwowskiem 56,5%. A więc nie wszędzie są tam Polacy w mniejszości liczbowej. Ale czy fakt, że Polacy są na tych ziemiach mniejszością liczbową mógłby uzasadniać wprowadzenie autonomicznej odrębności? Wprost przeciwnie, fakt taki byłby najsilniejszym argumentem przeciwko wprowadzeniu do ziem o mniejszości polskiej autonomji politycznej. Jakież bowiem byłyby wyniki tej reformy? Gdyby ustrój autonomiczny oparty był na zasadach demokratycznych — a tylko taka autonomja mogłaby zadowolić prowodyrów ruchu litewskiego, białoruskiego i ruskiego — to wówczas układ stosunków cyfrowych musiałby dobrowadzić do tego, że dominujące stanowisko na wschodnich naszych obszarach przypadłoby nie Polakom, lecz innym. Że logiczną konsekwencją tego faktu byłoby osłabienie polskości i rozluźnienie węzłów duchowych tych krajów z państwem polskiem, to chyba jasne. W tych warunkach autonomja polityczna byłaby tylko wstępem do mniej ścisłej unji, a następnie do zupełnego oderwania się kresów wschodnich od Polski. Taki bowiem jest historyczny los każdej autonomji politycznej i każdej federacji. Taki związek musi ulegać przeobrażeniu bądź w kierunku unifikacji, bądź w kierunku separacji. Jeśli się niszczy dokonaną unifikcję, to pcha się niewątpliwie dziejową ewolucję w kierunku separacji. Chyba nikt z Polaków twierdzić nie będzie, iż oddzielenie naszych wschodnich obszarów leży w interesie Polski.

Na to można wprawdzie dać odpowiedź, iż trzeba nadać taką autonomję, która będzie gwarantowała należytą rolę Polaków na kresach i przez to zapewniała trwałą łączność tych krajów z całością państwa. Zapewne. Trudno tylko byłoby zrozumieć, komu i naco byłaby tak pojęta autonomja potrzebna. Dzisiejsi prowodyrowie polityczni mas niepolskich, którym uśmiecha się idea nie unji, lecz oderwania się od Polski, będą ją uważali za krzywdzącą fikcję. Dla tamtejszych mas ludowych, pozbawionych aspiracyj politycznych, a wyczekujących jedynie silnych i sprawiedliwych rządów, wszystkie zmiany ustrojowe tego rodzaju nie przedstawiają interesu i wprowadzają chyba jeden jeszcze powód zamętu. Przypuszczenie, że tą drogą dojdzie się do ukontentowania ludności niepolskiej i ułatwienia sobie rządów nad nią jest wierutnym błędem. Taka czy inna autonomja wywołać musi jedynie wrażenie, że Polska nie ma dosyć siły, aby uznać, iż ziemie wschodnie są państwem polskiem i ażeby nad niemi panować. A że dotychczasowe rządy polskie poczyniły już znaczne wysiłki, aby wpoić w masy przekonanie o słabości polskiej dominacji, przeto wprowadzenie ustroju autonomiczno-federacyjnego byłoby ukoronowaniem tego samobójczego dzieła. Tak się przedstawia sprawa z punktu widzenia naszej polityki wewnętrznej. Horoskopy nie są różowe. Wprowadzenie ustroju federacyjnego osłabia władzę centralną, utrudnia rządy całością, grozi rozczłonkowaniem państwa i utratą jego obszarów wschodnich, które, nie zapominajmy o tem, stanowią 56,07% całego obszaru Polski.

Czy idea federacyjna przedstawiałaby się ponętniej z punktu naszej polityki zagranicznej i stosunków międzynarodowych? Zagadnieniu temu poświęcić wypadnie osobny artykuł.

JOACHIM BARTOSZEWICZ

KILKA UWAG O ZAGADNIENIU ELITY

ELITA społeczna to konieczność; postulat elity to postulat przedewszystkiem instancji rozjemczej między grupami o interesach sprzecznych. W ustroju liberalnym układ stosunków społecznych zależy od gry sił — co interpretować z góry optymistycznie — znaczyłoby wciągać w rozumowanie jakąś zakapturzoną mistyczną przesłankę.

Weźmy np. kwestję tak jątrzącą ochrony lokatorów. Gdybyśmy zgodzili się bez zastrzeżeń z tymi wszystkimi, co ochronę lokatorów uważają wprost za „bolszewizm" — to wątpliwości nie ulega, że jeszcze więcej mielibyśmy takich, jak ten oto wypadków:

„W Nowym Tomyślu pod Bydgoszczą eksmitowano dekarza Hakę, znajdującego się od dwóch lat w rozpaczliwem położeniu finansowem. Po eksmisji rzeczy biedaka przewieziono do sali licytacyjnej. Hake wraz z żoną poszedł za miasto i tam powiesili się na jednem drzewie. Dopiero na drugi dzień zauważono kołyszące się trupy wisielców".

Nie ważę się dodać tu jednego więcej słowa.

*

Ale znowu z drugiej strony faktem jest, że zachodzą wypadki, w którychby raczej należało było gospodarzy wziąć w ochronę przed lokatorami. Przedewszystkiem jednak podnosi się, że obniżenie w tej dziedzinie procentu od kapitału wpływa deprymująco na ruch budowlany, co się z kolei odbić musi i na samych lokatorach.

Słowem mamy tu jedną z kwestyj nad wyraz skomplikowanych, w których drogę błędu najmniejszego odnaleźć można tylko wnikając w nie z zasobem obfitym doświadczenia praktycznego, wiedzy socjologicznej, zdrowego rozsądku i dobrego serca a przedewszystkiem doskonałego objektywizmu społecznego t.j. sprawiedliwości i bezstronności. Gra sił społecznych nie zabezpiecza, powtórzmy: racjonalnego czyli, ze wszystkich w grę wchodzących względów stosunkowo najbardziej słusznego układu stosunków: zawsze bowiem, nawet przy pokojowych układach i kompromisach, jedna z grup działających ma przewagę sytuacyjną, przewagę nie mającą nic wspólnego z postulatami sprawiedliwości — (sprawiedliwości, rozumianej tu jako prawo człowieka do spełniania człowieczych, obywatelskich i cywilizacyjnych zadań — co już zawiera i wyznacza postulaty sprawiedliwości rozdzielczej).

Że ludzie obdarzeni takim jak wyżej zespołem cnót na kamieniu się nie rodzą — to pewne; jak więc ich przygotować, odnaleźć, zespolić i dać im możność odziaływania skutecznie na życie, czyli poprostu władzę — to jest zagadnienie elity.

I

Zagadnienie elity jest bardzo trudne; zachodzi w niem bowiem niejaka antynomja. Elita ma być grupą społeczną, ale grupą, którąby w pewnem znaczeniu grupą nie była, była ponad grupami. Jeśli bowiem elita będzie grupą zorganizowaną, to odrazu wytworzą się *ipso facto* jej własne, szczególne, odśrodkowe interesy, co sprzeczne jest z jej założeniem harmonizowania interesów całości; jeśli zaś elita grupą zorganizowaną nie będzie, to jakim sposobem obejmie i utrzyma władzę? Ujmijmy problemat ten jeszcze inaczej: Z czego elita będzie żyć, co będzie jej gospodarczą podstawą? Jeśli będzie to warstwa posiadająca, to pytanie, czy pojmie należycie potrzeby warstw ubogich? Bo liczymy się wszakże z ludźmi, jakimi są naprawdę *en masse*, nie jakimiś wymarzonymi, lub wyjątkowymi... Elita zaś uboga — (pominąwszy już to, że kwestja jej podstawy gospodarczej jeszcze tu nie załatwiona) — prawdopodobnie nie zdołałaby utrzymać na dłuższy czas wyższej kultury — kultura to rzecz kosztowna. Gdyby wreszcie elita pomyślana miała być nie jako warstwa zamożna, gospodarczo niezależna, ale jako grupa utrzymywana przez państwo, jako biurokracja wzorowa, to znowu pytanie: Czy biurokracja posiada dosyć niezawisłości, aby przedstawiać mogła grupę wyborową, elitę? Wszak ludzie, utrzymywani przez skarb państwa w razie opanowania go przez jakąś grupę o interesach szczególnych, odśrodkowych, — grupę w znaczeniu pewnem „najezdniczą" — zmuszeni bywają nawet przy dużem poczuciu godnem osobistej i sprawiedliwości — uginać karku.

Kwestja, słowem wielce trudna, ale porzucić jej nie można, widzimy bowiem czujemy jawnie, że tu jest integralna część kwestji społecznej. Jeśli więc o zasadnicze rozstrzygnięcie jej niełatwo, to spróbujmy podejść ku niej poniekąd „z boku", od pewnych konkretnych, szczegółowy punktów widzenia — i spytajmy na początek: Która z warstw społecznych, w warunkach obecnych, względnie najbliższą jest typu „elity"? Ta oczywiście, która posiada wykształcenie najwyższe; na którą składają się wszystkie żywioły społeczne; ongiś był nią kościół, dziś jest inteligencja świecka i duchowna. W łożysko inteligencji współczesnej spływają potoki ze wszystkich warstw społeczeństwa: Potomkowie dawnych warstw panujących, synowie burżuazji, małomieszczan, chłopów, robotników — wszyscy razem zlewają się w środowisko, powiązane węzłami wspólnego wykształcenia, koleżeństwa, przyjaźni, zabawy, małżeństwa, krwi, — w środowisko, najlepiej w społeczeństwie uzdolnione do wczuwania się w psychikę różnorakich warstw społecznych do godzenia różnorakich interesów, do podtrzymywania w potoku rozwojowym ciągłości tradycji i zarazem do odświeżania zasobów tradycyjnych przez kontakt z nowem życiem — do wytwarzania, słowem, narodu. Naród współczesny powstaje tam, gdzie powstaje inteligencja, i jeśli wogóle mowa może być o „jaźni zbiorowej", to w narodzie szukać jej należy wewnątrz kręgu inteligencji.

Ale pojęcie „inteligenta" (człowieka przynależnego do inteligencji) jest bardzo nieokreślone; wszak do truizmów należy, że dyplomy nie stanowią o inteligencji jednostki. Dlatego, choć powiadamy, że materjałem na elitę narodową władającą jest inteligencja narodowa, to pozostaje nam jeszcze niepewność, kogo do niej zaliczymy? Możnaby wprawdzie powiedzieć, że do inteligencji należy każdy, kto w czynny i świadomy sposób przyczynia się do wytwarzania kultury narodowej; jednakowoż przy rozpatrzeniu, zdanie to mówi zamało i zawiele, więc praktycznie, tyle co nic.

Ale obejrzyjmy się. W Europie współczesnej zaszły przecież fakty, mogące drogę tu wskazać. Wszak faszyzm jest ruchem inteligenckim, ruchem—o którego wartości przedmiotowe na tem miejscu nie idzie — ale ruchem, którego założeniem socjologicznem jest przekroczenie sprzeczności między kapitałem a pracą i zajęcie wobec bieżącej, żywej, organicznej rzeczywistości

społecznej punktu widzenia ogólno-narodowego, czyli poprostu objektywnego. Ale i w socjalizmie, *mutatis mutandis*, coś podobnego widzimy do faszyzmu: socjalizm nie jest ruchem wyłącznie robotniczym, jest to ruch w równej przynajmniej mierze i inteligencki; w komunizmie rządy faktyczne należą do nielicznej grupy osób wykształconych, między któremi jest, jak wiadomo, i potomek starej szlachty. I tu znowu nie idzie o ocenę merytoryczną tej grupy władającej, tylko o jej społeczną proweniencję..

Przykłady te pouczają, że elita władająca organizuje się, wewnątrz warstwy wykształconej, na podstawie walki o program społeczno-polityczny; skoro zaś do objęcia władzy przyjdzie, to już wewnątrz obozu zwycięskiego następuje selekcja na podstawie uzdolnienia do wykonywania władzy w danych faktycznie warunkach. Że ta elita niekoniecznie odpowiadać musi normom idealnym elity narodowej, elity prawdziwie władczej, mającej wyczucie i zrozumienie potrzeb konkretnej całości narodowo-społecznej, to zbędne dodawać; tu idzie o podkreślenie znaczenia twórczego myśli teoretycznej, myśli tworzącej wytyczne naczelne programu: Jeśli niniejsza formuła morfologiczna elity władającej sama z siebie nie przesądza jeszcze o jej wartości merytorycznej, o jej cnotach władczych — to jednak wolno przypuszczać, że na podstawie programu najdalej przewidującego, najmniej sztywnego, najgłębiej wkorzenionego w psychikę żywą narodu, do władzy przyjdzie elita właśnie najbardziej jej godna.

Trzeba więc zdać sobie z tego sprawę: Jeśli prawdą jest, iż zbawienie zależy od organizacji, to drugim tej prawdy aspektem jest, że zbawienie zależy od jednostek. Tworząca się elita o ambicjach władczych ma formować się nie na podstawie przynależności do ugrupowań zawodowych, gospodarczych, towarzysko-kierowniczych itp. — jeno na podstawie przynależności do idei (i takie mianowicie jest założenie socjo-morfologiczne O. W. P.). Ale przynależność do idei społecznie-objektywnej da się pomyśleć tylko na podstawie osobowych uzdolnień jednostek do wczuwania się w potrzeby całości konkretnej życia społecznego i narodowego. Nie trzeba być koniecznie materjalistą dziejowym, aby przyznać, że na wszystkich stopniach wykształcenia i poloru, ilość osób kierujących się w wyborze idei społeczno-politycznej czem innem, niż interesami gospodarczemi swego najbliższego środowiska, jest wcale nieznaczna..

Elita, skoro tylko od myśli teoretycznej przejdzie do polityki, która niczem innem nie jest, jeno umiejętnością osiągania i sprawowania władzy — to wytworzyć musi stronnictwo, albo blok stronnictw o ściśle określonych celach wspólnych. Cele mogą być społecznie objektywne; ale to rzeczy nie zmienia: w działaniu politycznem, na tle ogólnem życia politycznego, zawsze jest się tylko jednym z czynników subjektywnych, zawsze jest się „stronniczym". „Bezpartyjność" w polityce — to, teoretycznie, sprzeczność w założeniu; praktycznie zaś, albo żenada nie na miejscu, albo bałamuctwo obliczone na naiwność. Można być doskonale „bezpartyjnym politykiem", gdy przez „partyjność" oznaczy się przynależność do programu politycznego... ale „być politykiem" to znaczy zmagać się o władzę i być w tem zmaganiu się jedną ze stron, czyli dosłownie partyj... Partja może nie mieć żadnego innego celu, tylko nagą władzę; ale gdyby tego celu się zrzekła, toby już jej nie było, razem z całą jej ewentualną i rzekomą „bezpartyjnością"...

Grupa, słowem, która do władzy zdąża z ideałem w duszy elity szlachetnie władczej, z programem społecznie objektywnym, może być tylko jednem więcej stronnictwem czy partją, lub blokiem ich; na to rady niema; „po owocach ich poznacie je"; nie o formę idzie, tylko o treść: o ile dana zwycięska grupa władająca zbliży się do ideału elity władczej, zaświadczy trwałe, na długi dystans, napięcie energji i radości narodowej.

II

Uzyskaliśmy jedną, morfologicznej natury, wytyczną w zagadnieniu elity: Elita tworzy się i dąży do władzy na podstawie przynależności ideowej. Ale czy wolno wyobrażać sobie, żeby rządy jednego stronnictwa trwać mogły dłużej, niż przez pewien okres czasu, okres przełomowy? Wszak sam fakt sprawowania władzy, przyczyniając się z jednej strony do selekcji dodatniej wewnątrz stronnictwa — z drugiej jednak działa odrazu ujemnie, wytwarzając nałogi i zachcianki „najezdnicze", czyli zasklepiając środowisko dane w jego specjalnych odrębnych interesach i przyzwyczajeniach, odłączając je od nurtu rzeczywistego i pełnego życia społecznego. Czyli — zgodziwszy się już na to, że większych w narodzie rzeczy dokonać może tylko władza skupiona w ręku obozu ideowego, ściśle zwartego, o gruntownie przemyślanym i z najgłębszych potrzeb społeczności wyprowadzonym programie działania — z drugiej strony liczyć się trzeba z przeżywaniem się tej elity, z nowymi, przerastającymi jej rutynizującą się z biegiem czasu umysłowość— kompleksami zagadnień, liczyć się z tem, że władztwo jednego stronnictwa jest formą zbyt sztywną, a przez to zbyt nietrwałą; że zatem zawczasu myśleć trzeba o wbudowywaniu w organizm społeczny jakichś konstrukcyj sprężystych a trwałych, któreby życiu społecznemu zabezpieczały jakieś objektywne *nb.* na miarę ludzką, — od zmieniających się stronnictw władających niezawisłe regulatywy.

„Po owocach ich poznacie je"... A raczej, należałoby tu parafrazować: „Po siewie ich..." Nie fakt dobijania się o władzę jest wstydliwy — bo to fakt immanentny życia politycznego; — jeśli powstaje grupa duchowa o typie szlachetnie władczym, to i ona ma obowiązek w walce o władzę wziąć udział; wstydliwy i szpetny jest tylko fakt używania władzy w sposób „najezdniczy": Władca sprawuje władzę na to, aby społeczeństwo wychować do samorządu, najezdnik nie liczy się z przyszłością, on gotów wyjałowić psychikę zbiorowości z tych wszystkich instynktów, które społeczeństwu dają prężność duchową, duchową odporność i samotrzymanie się. Może zdarzyć się w dziejach narodu, że jedno z aktualnych społeczeństw, z których w następstwie czasów składa się naród — straci zdrowotność moralną, zdrowotność, która wyczuwać daje, co jest narodowi potrzebne do tęgiego i wolnego trwania w dziejach; może jedno z pokoleń narodowych takim rządem się cieszyć, na jaki ze względu na swoją inercję właśnie zasługuje; mimo to grupa o duchowości prawdziwie władczej, elita prawdziwa, w programie swym polityczno-społecznym nie na instynktach niewolniczych oprze swój rachunek, ale na intencjach obywatelskich w duszy ogółu; do władzy zdążać będzie po to, ażeby wytworzyć stały i trwały grunt instytucyj społecznych, od których jak od skał odbijałyby się zmienne fakty przypadkowości politycznej, — zapragnie ustanowić ośrodki wytwarzania się niezawisłej, dziejowo ciągłej, elity społecznej. Pragniemy dziś wszyscy życie zbiorowe bardziej „uspołecznić", skupić, związać, zorganizować; ale to nie znaczy wcale: wszędzie i na każdem miejscu etatyto-

zować; chcemy otoczyć człowieka całym szeregiem bliższych skupień, coby nad nim rozciągały pieczę i dyscyplinę, ale nie chcemy uczynić go zależnym od widzimisię każdorazowej grupy rządzącej w państwie. I dopiero zrozumienie głębokie tych postulatów pasować może grupę władającą na grupę władczą.

Prawdziwa elita rozumie znaczenie społeczne postulatu elity: weźmie władzę po to, aby do rozwoju pomagać wszystkim tym instytucjom, w których wytwarzają się czynniki i żywioły objektywnej, sprawiedliwej i rzeczoznawczej ingerencji społecznej. Zaopiekuje się więc rozmaitemi zrzeszeniami zawodowemi, czuwającemi nad poszczególnemi działami życia, pomyśli o tem, aby zapewnić im znaczenie rzeczowe, niezawisłość więc od zmiennych powiewów życia politycznego. Taki więc np. fakt, jak niwelacja dla przejściowych zamiarów politycznych autonomji zawodowej wychowawstwa publicznego, to sprawdzianem zupełnie wystarczającym do ocenienia socjologicznego grupy władającej, któraby się tego dopuściła.

Przedewszystkiem jednak, należy tu na uwadze mieć sądownictwo, — sądownictwo o wysokim poziomie wiedzy rzeczowej, wysokiem poczuciu godności stanu, a całkowicie niezawisłe. Władza sądownicza wprawdzie życia nie prowadzi, ale je zatrzymuje— przed staczaniem się w odmęty nieładu i barbarzyństwa; jednostkom nie obiecuje opieki społecznej pozytywnej, ale chroni dusze przed nihilizmem, przed przeświadczeniem, że społeczeństwo jest jeno przedłużeniem chaosu żywiołów. Przeświadczenie o praworządności społecznej tyczy się, samo w sobie, nie tyle substancji, treści życia, ile formy społecznej, kształtów na życie; ale przecie działanie jego jest na wskroś pozytywne, twórcze: trzeba mieć przekonanie, że bądź co bądź, działa w społeczności jakaś sprawiedliwość, coś wzniośle objektywnego, jakaś słuszność nieugięta — ażeby skorym być do działań pożytecznych, obliczonych na jutro i na pozajutrze.

Jakkolwiekbądź ukształtuje się elitę przyszłości, to jedno jest pewne: istotą jej działania i myślenia będzie idea sprawiedliwości. Wymiar sprawiedliwości na podstawie praw danych, to jeszcze nie całkowite spełnienie tego zadania, którem jest przeniknięcie zbiorowości duchem objektywnej harmonizacji interesów jednostek, grup zawodowych, kierunków duchowych; ale wymiar ów jest punktem wyjścia dla rozwoju ducha sprawiedliwości, jego pierwszą szkołą. Aby wymiar ten mógł być uskuteczniony jaknajlepiej, potrzebny jest rozwój poczucia prawnego w szerokich warstwach społecznych, zaufanie w godność i rzetelność władzy sędziowskiej; gwarancje i ostoje sprawiedliwości sądowej winny się w wyobraźni ogółu otoczyć aureolą nietykalności absolutnej. Społeczeństwa, mające głębokie instynkty kulturalnie-konserwatywne, czujny zmysł na to, co potrzebne jest, aby życie człowieka zabezpieczyć przed wtargnięciem żywiołów anarchji i barbarzyństwa — wszelkie zamachy na rzetelność i niepodległość sumienia sędziowskiego odczuwają jako akt wprost rewolucyjny, godzący w istotne wiązania moralne życia społecznego.

Polityka elity prawdziwej zdążać będzie nie do zachwiania autonomją sądownictwa i podkopania jego społecznego miru, — ale przeciwnie do jego wywyższenia moralnego i do rozbudowy jego w jaknajwiększej ilości kierunków. Godzi się mieć nadzieję, że wiele konfliktów jątrzących między grupami gospodarczemi dałoby się łagodzić przez urząd rozjemczy, do którego doskonałej objektywności społecznej, wysokiej wiedzy i bezwzględnej uczciwości mianoby pełne zaufanie. Nikt chyba nie wątpi, że bliższym ideału człowieka elity jest sędzia, czy też inny stróż prawa, wysoko noszący swą godność organu prawa, człowiek czujący się uprawnionym do własnego poglądu ideowego obywatelem narodu — niźli osobnik moralnie wątły, bojący się własnego cienia i własnego przekonania o tem, co jest zgodne z prawem i uczciwością. Kto rozumie wagę ideału elity, dla tego stosunek względem wszelkich zamachów na—niezawisłość sumienia osób, w jakikolwiek sposób zależnych od władzy rządowej—jużz góry jest ściśle wyznaczony.

III

Zagadnienie elity ma też inne strony, które tu pominę; chcę tylko jeszcze rzucić w tym związku spojrzenie w stronę kwestji monarchji. Monarchiści współcześni postulują nieraz instytucję monarchji właśnie jako postulat władztwa elity. Monarcha ma być ucieleśnionym interesem objektywnym całości społecznej, organizatorem i promotorem, ogniskiem elity władczej. Wiedeński profesor, Otmar Spann (nacjonalista, mający dużo zrozumienia dla kwestji społecznej), w książce swej pt. „Prawdziwe państwo" (1923, Wiedeń, Lipsk), dając projekt „ustroju stanowego", tj. korporacyjnego, staje w końcu wobec pytania, kto będzie czynnikiem związku i równowagi między poszczególnemi stanami — i na pytanie to odpowiada pojęciem „stanu politycznego", umieszczonego w osobie króla, rządzącego z pomocą rady złożonej z przedstawicieli stanów, a zapomocą nielicznej, ale wysoko wyrobionej biurokracji, do której wzorem mu jest biurokracja pruska.

Otóż, zdaniem naszem, monarchiczne rozstrzygnięcie zagadnienia elity jest tylko pozorne, kwestję tę przesuwa tylko nieco wgłąb.

Monarchiści współcześni mają na myśli nie monarchję konstytucyjno-demokratyczną, króla, będącego tylko kosztownym manekinem od parady, ale monarchję stanowiącą przeciwstawienie się ustrojowi obecnemu, króla obdarzonego znacznym zakresem władzy osobistej. Cóż jednak nastąpi, gdy dana jednostka okaże się bierną, albo nawet wprost szkodliwą. Monarchiści poważniejsi dopuszczają pytanie to i odpowiedź na nie mają — o ile zechcą być szczerzy — gotową: „Król rządzi nie sam, ale z pomocą swojego otoczenia". I to jest słuszne—i tu jest sedno sprawy; tylko podkreślić należy ten moment wyraziście i powiedzieć: Otoczenie monarchiczne może nie obawiać się nawet króla warjata, ono bowiem ma sposoby unieszkodliwienia go, bo nawet przy królu o zdrowych zmysłach, królu czynnym i inteligentnym, *de facto* ono rządzi, ono włada. Tylko przełamane przez środowisko otoczenia swojego otrzymuje król wrażenia ze świata; wszak mądry kalif chcąc się dowiedzieć czegoś o życiu rzeczywistem, nocną porą, w przebraniu, wymykał się z pałacu... Nawet jednostka bardzo niezależna i silna, zasiadając tron monarszy, ze społeczeństwem obcuje nie bezpośrednio, nie „nago"; w sobie, w swej duszy nosi ona środowisko o interesach i psychice nieraz bardzo szczególnej, bardzo odległej od konkretnego życia zbiorowości. W monarchji więc pytanie powstaje: „kto rządzi królem?" — a tu znowu wracają pytania o elitę.

Gdy więc w społeczeństwie współczesnem zjawia się prąd monarchiczny, to nie dać się oplątać sugestjami o królu, jako o czynniku objektywnym, „nadspołecznym", — ale pilnie patrzeć należy, kto, jakiego rodzaju i jakiego pokroju środowisko chce króla zrobić? Zrobić go na początek, a potem robić go już codziennie.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

NOWA KSIĄŻKA O KRASIŃSKIM

WYDANA świeżo książka Tadeusza Piniego o Krasińskim*) jest dziełem rzetelnej wartości, jak tego zgóry można było być pewnym: jej autor bowiem jest utalentowanym pisarzem i uzdolnionym badaczem, zbrojnym w rozległą wiedzę i w dobrą metodę naukową; o tem świadczą już jego dawniejsze studja i szkice historyczno-literackie, wśród których na pierwszy plan wysuwają się prace o Garczyńskim i Krasińskim. A nadto autor posiada dwie zalety, nie często spotykane u krytyków: nie lubi pustych słów, troszczy się świadomie o zwięzłość i treściwość, oraz co jest rzeczą jeszcze może rzadszą, ma niezależność sądu i odwagę cywilną, z jaką (także całkiem świadomie i, jeśli się nie mylimy, z niemałem upodobaniem) przeciwstawia się utartym sądom i wogóle tradycji. Że szczególnie obfite pole w tym względzie miał autor w książce o Krasińskim, to jasne: nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości, że tradycja nadmiernie wyidealizowała Krasińskiego — po części jako poetę, ale nadewszystko jako człowieka.

W idealizowaniu człowieka najdalej posunął się Tarnowski, przebierając wszelką już miarę i często przecząc... własnym sądom Krasińskiego, który, jak mało kto, zdawał sobie sprawę z ujemnych stron swojego charakteru. Dzieło Kallenbacha — jeszcze niedokończone; ale w dwóch ogłoszonych dotychczas tomach możnaby się tu i owdzie dopatrzeć także pewnej idealizacji. Stanowczą reakcję pod tym względem zainaugurował dopiero Chlebowski (w tomie piątym „Stu lat myśli polskiej"): nie ukrywając wielu wysoce dodatnich stron charakteru Krasińskiego, nie chowa pod korcem cech ujemnych, tłumacząc je zresztą (i bardzo słusznie) jego chorobliwością. Pini, mówiąc o Krasińskim, jako człowieku, idzie swoją własną drogą, zupełnie inną, niż Tarnowski, i różną od tej, którą poszedł Chlebowski: oto o jasnych stronach charakteru Krasińskiego wspomina poprawdzie, ale ich nie uwypukla, silnie natomiast uwydatnia cechy ujemne, jakoto ciągłe układanie dramatu, brak decyzji i zdolności do czynu, usprawiedliwianie bezczynności zapomocą sofizmatów, a nadewszystko rozdźwięk pomiędzy własną teorją a praktyką życia. „Było to może największą tragedją jego życia, — mówi autor — że od ukochanej swej, ubóstwianej niemal twórczości musiał oddzielić się przepaścią słowa". Otóż tej właśnie „przepaści" pomiędzy słowem a czynem Krasińskiego nikt dotychczas z tak bezwzględną otwartością nie uwydatnił, jak Pini. I to jest niewątpliwie jego zasługą; byłaby jeszcze większa, gdyby to wszystko, co w życiu Krasińskiego było piękne i jasne (a było tego niemało, choćby tylko wręcz wyjątkowa serdeczność, uczciwość i szlachetność w przyjaźni i niemniej wyjątkowa czujność sumienia) — gdyby to wszystko było oświetlone równie mocno, jak powyższe cechy ujemne, to znaczy, gdyby charakterystyka Krasińskiego była pełna, a nie jednostronna.

Tuż potem jednak trzeba dodać, że ta jednostronność płynie, jeśli się nie mylimy, nadewszystko z zamiaru dokonania rewizji popularnych sądów o Krasińskim, a nie z jakiejś antypatji czy uprzedzeń. Przeciwnie: autor, jak to widać z całej książki, żywi względem Krasińskiego szczerą sympatję. A mówiąc o ujemnych stronach jego charakteru i życia, szuka ich usprawiedliwienia, a przynajmniej wytłumaczenia psychologicznego, i to nie tylko, jak Chlebowski, w jego chorobliwości, ale także (co zasługuje na szczególną uwagę) w swoistej organizacji p o e t y c k i e j, w tem, że „niedoskonałość genjuszu poetyckiego prowadzi z sobą niedoskonałość poety w życiu politycznem, społecznem, nawet w życiu domowem" (str. 99): pogląd ten ma w sobie dużo, bardzo dużo słuszności, chociaż pisać się nań bez zastrzeżeń trudno. Lecz nietylko chorobliwość (w znacznej mierze odziedziczona) i nie tylko organizacja poetycka tłumaczy nam, dlaczego życie Krasińskiego potoczyło się taką, a nie inną koleją i dlaczego jego charakter był taki, a nie inny: była jeszcze trzecia klątwa jego życia, ze wszystkich najcięższa, a był nią rodzony ojciec. Tak, wszystkie próby rehabilitacji generała Wincentego Krasińskiego do niczego nie prowadzą — wobec wielu niezbitych dowodów, że był to człowiek bardzo lichy, a do tego dotknięty, jak słusznie mówi Pini, „obłędem wiernopoddańczym" wobec cesarza Mikołaja. Otóż nikt dotychczas nie wyjaśnił tak dokładnie, nie obwijając w bawełnę, jak ważną rolę w życiu i twórczości Krasińskiego odegrał ten obłęd jego ojca, obłęd, z którego syn zdawał sobie jasno sprawę i nad którym słusznie cierpiał, nieraz nadaremnie usiłując wyrwać tę świadomość ze swej duszy. „Generał Krasiński zaciężył, jak zły duch, na całem życiu syna. Nie zdołał go nakłonić do zdobywania, jak on to czynił, łaski carskiej za cenę pogardy społeczeństwa, ale opętał mu duszę i skrępował jego wolę. Cała energja syna przelała się na twórczość, która była głośnem *veto* przeciw postępowaniu ojca i świadczyć miała, że syn z szlachetniejszego odlany kruszczu. Na inne protesty brakło już siły — a protestem i klęską dla generała byłby każdy udział syna w akcji patrjotycznej, w „pójściu za Chrystusem" (str. 305 — 306). Autor ma najzupełniejszą słuszność, nie myli się niestety i wtedy, kiedy pisze, że „można wytłumaczyć zmorą ojcowską bezczynność całego życia Krasińskiego, jednej tylko sprawy wyjaśnić i usprawiedliwić nie można: stosunku do uwłaszczenia chłopów. Teoretycznie uznawał konieczność uwłaszczenia, nietylko w korespondencji, ale np. w memorjale do Guizota,... ale sam nie uczynił w tym kierunku nic. W posiadaniu rodziny są listy do rządców dóbr; poleca w nich obchodzenie się ludzkie z chłopami, na karanie ich chłostą dozwala tylko w razie koniecznej potrzeby". „Od przeciętnego hreczkosieja — dodaje słusznie autor — nie możnaby zapewne wymagać więcej, ale dla autora „Przedświtu" jest to stanowczo za mało" (str. 306). Lecz i tutaj przytacza Pini na usprawiedliwienie Krasińskiego: położenia ludu nie znał widocznia i dlatego nie wziął go sobie do serca, to bowiem, co mu „poruszyło serce, przemawiało do jego woli i zwykle objawiało się czynem" (str. 307).

Jakimże tedy człowiekiem był Krasiński? czy w jego charakterze i postępowaniu przeważały dobre, czy złe pierwiastki? Otóż na to pytanie niema odpowiedzi w książce Piniego; nadaremniebyśmy w niej szukali syntezy rozrzuconych po całem dziele poszczególnych rysów charakteru Krasińskiego. Na usprawiedliwienie autora to jednak powiedzieć trzeba, że

*) T a d e u s z P i n i. Krasiński, życie i twórczość. Poznań (1928), Wydawnictwo Polskie (R. Wegner); str. 323.

problem charakterystyki człowieka należy do dziś dnia (pomimo prac Paulhana, Müllera-Freierfelsa, Jaspersa i wielu innych) do zagadnień najtrudniejszych.

Przejdźmy teraz od zagadnień charakterystyki Krasińskiego, jako człowieka, do obrazu jego twórczości w książce Piniego. Cały ten obraz jest owocem własnych badań autora, który liczy się wprawdzie (chociaż nie zawsze) z bogatą literaturą o Krasińskim, ale który nic na wiarę innych nie przyjmuje. Do najlepszych stronic dzieła należą te, na których autor wyjaśnia historję powstania utworów Krasińskiego oraz ich genezę i to nie tylko literacką, ale i życiową — te własne „przeżycia" poety, które się odbiły w jego utworach. I znowu trzeba przyznać, że nikt dotychczas nie rozpatrzył tego zagadnienia tak wnikliwie, jak Pini.

Lecz nasuwa się tutaj jedno zastrzeżenie, nawet jeden bardzo ważny zarzut: oto autor nie dosyć ściśle odgranicza zagadnienie genezy tego lub owego pomysłu od jego wyrazu artystycznego. Oto np. w rozdziale o „Nieboskiej Komedji" autor twierdzi, że „postać hr. Henryka załamuje się... i przedstawia... raz Krasińskiego (np. rozmowa z filozofem), to znowu jego ojca— Krasiński zaś sam raz odgrywa rolę hr. Henryka, drugim zaś razem rolę Orcia, ...w rozmowie z Pankracym jest hr. Henryk znowu wyłącznie Krasińskim" (str. 119—130). Prawda, że na genezę postaci hrabiego Henryka złożyło się kilku ludzi: i Krasiński, i jego ojciec, i jego syn; pomimo to o załamaniu się tej postaci ani mowy niema — w swoim wyrazie artystycznym jest hrabia Henryk postacią jednolitą. Albo jeszcze „Krasiński — czytamy na str. 179 — posunął się... tak daleko, że panią Potocką, której opinja była bardzo nadwerężona, odważył się wprowadzić do „Przedświtu" i tam powierzyć jej wywoływanie wizji Polski". Zapewne wszyscy wiedzą, że żywym modelem „siostry" w „Przedświcie" jest pani Potocka: ależ przecie jej nazwiska nie wymieniał Krasiński, podobnie np. jak Mickiewicz w czwartej części „Dziadów" nie wymienił ani imienia, ani nazwiska Maryli Wereszczakówny. Co innego model, a co innego obraz: „siostra" w „Przedświcie" jest tylko „siostrą", a nie panią Potocką; do estetycznego odczuwania utworu poezji wiadomości o genezie nie są najczęściej potrzebne, a często nawet przeszkadzają i właśnie dlatego należy przy rozbiorze utworu ściśle odgraniczać pomienione dwa zagadnienia.

Rozbiory i oceny utworów Krasińskiego są, na ogół biorąc, trafne, ale nie zawsze wyczerpujące. A nie chodzi tutaj o drobne szczegóły, ale o rzeczy ważne.

Część trzecia „Nieboskiej Komedji" zaczyna się, jak wiadomo, od rozmowy przechrztów — dlatego, oczywiście, że za *spiritus movens* krwawych przewrotów rewolucyjnych Krasiński poczytywał żydostwo. Słusznie pisze Chesterton w przedmowie do przekładu angielskiego „Nieboskiej Komedji": „Poeta najoczywiściej uważa za rzecz pewną, że jakiekolwiek są racje, usprawiedliwiające rewolucje, we wczesnem swojem stadjum, gdy rewolucja jest jeszcze konspiracją, musi być ona konspiracją Żydów. Zasługuje na uwagę okoliczność, że jest to w szczególności konspiracja Żydów, którzy sami nie nazywają się Żydami, czyli, jak ich określa poeta, przechrztów. Cała sprawa buntu ludowego zaczyna się w jakimś sekretnym sanhedrynie, gdzie ci Żydzi układają plan zniszczenia naszej społeczności w takich samych prawie ściśle słowach, jakie później przypisywano Mądrcom Sjonu. Dla przeciętnego Anglika kwestja ta była zupełnie nowa, gdy przed kilku laty zaczęły o niej po raz pierwszy napomykać gazety. Dla poety zaś polskiego była to rzecz stanowczo pewna już we wczesnym okresie wielkiego liberalnego stulecia". Że Chesterton trafnie odgadł znaczenie sceny, od której się zaczyna część trzecia „Nieboskiej Komedji", tego dowodzi korespondencja Krasińskiego. „W duchu żydowskim jest wieczny instynkt przewrócenia chrześcijańskiego świata", pisał Krasiński do Cieszkowskiego. A do pani Potockiej pisał kiedyś tak: „Czem istotnie Żydy wśród świata naszego, wśród epoki chrześcijańskiej? oto dochowanym zabytkiem, nietkniętym, nienaruszonym ideału ojczyzny starożytnej, pogańskiej, która na tem zależała, by odgraniczyć się od całej ludzkości, być ciasną, być egoistyczną, starać się pod swoją jednostkę ludzkość całą podciągnąć lub swoją jednostką ludzkość całą zamordować. Nie inny ideał rzeczypospolitej greckiej, nie inny Rzymu, nie inny żydowskiego państwa: „Mój Bóg jest Bogiem zazdrosnym, Bogiem gniewu, każe zabijać cudzoziemców, rugować inne ludy z ich ojczyzn, by moja ojczyzna pierwszą się stała, przez zniszczenie ludzkości!". To żydowska miłość ojczyzny, i dlatego nam się podłymi, obrzydliwie szkaradnymi wydają, że starym ideałem żyją wśród wyższego ideału, wśród chrześcijaństwa. Stara cnota najwyższa stała się najniższą nową zbrodnią".

Otóż Pini w swym rozbiorze „Nieboskiej Komedji" zupełnie pomija rozmowę przechrztów—dlaczego, tego naprawdę trudno się domyśleć. Nie wolno przecie posądzać autora, żeby nie zrozumiał tej myśli Krasińskiego; mógł się na nią nie zgodzić, ale dlaczego ją zataił? Czyżby na uwydatnienie poglądu Krasińskiego, że Żydzi są głównymi sprawcami przewrotów rewolucyjnych i że zieją nienawiścią i żądzą zniszczenia kultury chrześcijańskiej, poglądu, którego słuszność stwierdziła rewolucja rosyjska — zabrakło Piniemu odwagi cywilnej? a może nie pozwoliło mu na to jego stanowisko „postępowe", tak wyraźne w całej książce? Raz jeszcze — trudno się domyśleć.

Stanowisko „postępowe" natomiast pozwoliło Piniemu śmiało wygłosić pogląd, że Krasiński z „trybuna ludowego przeistacza się... najpierw w konserwatystę, potem we wstecznika" (s. 228). Ilustracją tego poglądu autora jest nadewszystko rozbiór „Psalmu miłości". Cóż, kiedy i ten rozbiór nie jest wyczerpujący. Gdyby był wyczerpujący, to—kto wie— możeby jego ostatecznym rezultatem było to, że, jak to z całą bezstronnością i uczciwością stwierdza Kridl (w swej świetnej przedmowie do „Psalmów przyszłości" w Bibljotece Narodowej"), — „ściśle wziąwszy" Krasiński „nie walczył z rewolucją... samą w sobie, ale z osłabianiem jej siły i narażaniem jej rezultatów przez rozbijanie syntezy duchowej narodu, którą stanowić miały ciało—lud i dusza—szlachta, przez powierzanie kierownictwa ruchu siłom ciemnym, jeszcze nieuświadowionym, przez niszczenie naturalnych wodzów narodu — arystokracji duchowej". Kridl daje świadectwo i tej jeszcze prawdzie, że stosunak Krasińskiego do ludu w „Psalmach" „nie był to protekcjonalno-pogardliwy stosunek do „chłopków", lecz uznanie ludu za czynnik, jeżeli nie równej wartości, to równego znaczenia w syntetycznem tworzeniu narodu", i że „Krasiński był naturą zbyt bujną, bogatą i wszechstronną, żeby go można zmieścić w jednym kierunku czy obozie".

Wogóle sprawa „konserwatyzmu" czy „wstecznictwa" Krasińskiego nie jest bynajmniej tak prosta, jakby się zdawało.

IGNACY CHRZANOWSKI

(Dok. n.)

ŻYWOT PŁOMIENISTY

Pamięci Stanisława Zembrzuskiego poświęcam

I

OFIAROWANIE

Nie, bym chadzał, jak wagant z naiwnemi jasły,
za kolendę od tłumu srebrnik mając hojny,
alem jest, bym w tej trwodze, kiedy gwiazdy zgasły,
zakrwawił się kometą dla — Ognia i Wojny.

Nie, bym chciwy poklasku w chichot mieniał Słowo,
przez zamtuz ku nicości chytrze wiodąc gawiedź,
alem jest, bym tęsknotą kwitnął lazurową:
„Któryś na wysokościach, dzieci swoje nawiedź!“

Bo jeślim uczestniczył z braćmi w Zmartwychwstaniu,
w dźwięczny roztruchan godów nie wsączę lubystek,
jeno się zapamiętam w mądrem miłowaniu
i poświęcę Duchowi — czyn i żywot wszystek.

II

ODWIECZNE

Zwadźmy się, plwajmy na się i jako psy warczmy,
grzmoćmy się: niech słowiańskie ciało ma się rzeźwo!
Strudzi się pięść i gęba — pójdziemy do karczmy:
tam okrzyknie się „Jedność!“, skoro nie na trzeźwo.,

Jest prorok! Moiściewy!? Jezejchel, Izajasz?
— Nie pozwalam! Kamieńmi w natchnionego, chłopcy!
— Wieszczu, jegomość zwie się Kieliszek, czy Pałasz?
— Nie wie. Milczy! Tak zawsze, gdy swojak, nie obcy!

Lechiccy, mesjaniczni, z judzka postępowi,
męże stanu, warchoły i męże dziwożon:
nuże! śpiewajcie dzisiaj Requiem — Narodowi,
boć wskrzesły tylko części, z których bywał złożon!

III

WYZNAJĘ...

Kładłem się, blady otrok, na ziemi cmentarnej
i w próg ludzi dostatnich wstępowałem głodny,
lecz wyrastając w nędzy i męce ofiarnej,
powiedzcie, zalim kiedy nie bywał pogodny!

Nieraz łaknąłem chleba i wody bezpańskiej
i dla szaty wytartej stroniłem przed wami,
a przecie Duch przyzwalał mi uczty niebiańskiej
i okrywał mnie płaszczem, przetkanym gwiazdami.

I był mi dom rodzinny domem zła i kłótni,
żem go jednak ukochał w sercu, w krwi czerwieni,
uciekłszy, powracałem doń tęskny najsmutniej
i przynosiłem róże, gdzie szalej się pleni.

IV

SPRAWIEDLIWYM...

Nigdy was u biesiadnych nie widziano szklenic
z błazny i gamratkami, co błyszczą pawłoką,
boście, jak wierzby złote nad poszumem pszenic,
wrośli w samotność, czujni i smutni głęboko.

I nigdy was nie miano we czci i przyjaźni,
zaparł się was potrzykroć niewdzięczny świat Piotrów,
boście z tych, których dzieło uświęca się w kaźni,
a płomienisty żywot — w skonaniu wśród łotrów.

I jeśli grzeszny padół nie uległ zniszczeniu,
jeśli nie strącon w przepaść, cheruby-ż go strzegą?
O nie! — to go ramiony dzierży w utwierdzeniu
rozjarzony, by słońce, — Krzyż Sprawiedliwego!

V

GRZESZNICA

Piszczba, gędźba i wycie — piła, kocioł, dudy, —
... łkają skrzypce, szpinetu wieko się otwarło... —
w powodzi krwawych świateł płynie, na wyprzódy
z nierządnemi, niewiasta w tan, w ohydne tarło!

Podzwonnem brzęczy kielich, rzępoli żydowin,
oblepia ją krąg brzasku, ni pierścień zarzewia: —
i lgnie do młodych piersi djamentowy owin,
jęk siepiący, płaczący, jęk duszy z modrzewia.

Rodzi się bojaźń godzin, które mają wybić
i obłąkana rozpacz z przekleństwem się zmaga...
— Barw się, czerń się i różuj i wysmuklaj kibić,
spopieli cię — twa podłość, rozpustnico naga!

VI

OCKNIENIE

Przyjdźcie i stańcie, społem weźcie się za ręce,
by was opłynął ducha pobratymczy strumień!
Już — jutrznia i kwitnienie i głosy ptaszęce,
już — czas: i trzeba wołać do serc i do sumień!

W sennej izbie piastowej błękitnieją żarna
i cicho dopalają się lampy oliwne...
Hej, bywajcie! na siewców oczekują ziarna!
bywajcie! toć rdzewieją białe sierpy żniwne!

Szeleszczą w nizkiem niebie przeloty bocianie
i świt wzywa do pracy śpiewy skowrończemi...
Czemuż na twarzach waszych widzę zasłuchanie?
Dzwon dzwoni? Nie: tak głośno bije serce ziemi!

Luty 1928.

JANUSZ KAWECKI

LIBERUM VETO

Dzieci wolnej Polski

PO odzyskaniu niepodległości Polski ulegliśmy szeregowi złudzeń, które jeszcze nie zniknęły, ale powoli rozwiewają się. Byliśmy przekonani że my, to jest pokolenia zrodzone w niewoli, będziemy chcieli i umieli zorganizować mocne państwo, że nad jego budową będziemy pracowali niezmordowanie, uczciwie i ofiarnie, że naszym czynom nadamy wzniosłą szlachetność, że zapomnimy o wszelkich egoizmach, nienawiściach i walkach partyjnych, że przepuścimy przez wszystkie warstwy narodu potężny prąd umysłowego, moralnego i społecznego odrodzenia. Dziś już prawie wszyscy przyznajemy ze smutkiem, że to były złudzenia, że te piękne marzenia zamieniły się w szpetną rzeczywistość. Nie znaczy to jednak, że zgasły zupełnie i bezpowrotnie te gwiazdy nadziei, które nam przyświecały w długiej niewoli. Zapalają się one w innej stronie i błyszczą odmiennem światłem.

Dojrzewają nowe pokolenia, które z przeszłości czerpią idealizm pobudek a z teraźniejszości realizm doświadczeń i w których zrodziła się świadomość swojego obowiązku i posłannictwa. Coraz częściej i coraz wyraźniej z łona młodzieży wydobywa się ten głos powołania. Oczywiście mówię tu o t. z. młodzieży narodowej. Rozkiełznany z wszelkich wędzideł i znarowiony w swych dzikich wybrykach radykalizm odmawia jej prawa do przywłaszczania sobie tego tytułu, którym sam poniewiera, a który należy się jej słusznie i wyłącznie jako żywiołowi, obejmującemu swą miłością, dążeniami i celami cały naród w jego postaci etnologicznej i historycznej. Nie jest ona ani wsteczną, ani mumizującą skamieniałości rozwojowe, ani zamykającą widnokrąg życia patrzeniem przez wąskie szpary jakiegokolwiek fanatyzmu, ale jest głosicielką, przodownicą, strażą i mężną drużyną ideałów życia, powszechnej, niekłamanej i nienadużywanej wolności, czcigodnych praw i obowiązków, zdrowia, siły i bezpieczeństwa narodu, który jest odrębnym, godnym kochania, dumy i obrony tworem natury i dziejów na własnej ziemi.

Myśl polska zrozumiała już i zaczyna rozwiązywać jego zagadnienia, poezja polska zdobywa się na śpiewy rzewne, miłe, czarujące, ale jednocześnie brzmią w niej przeraźliwe zgrzyty, fałszywe tony, jęki bez doznanych bólów i sztuczne rozpacze, tryskają wysoko słupy mętnej, szumiącej i jałowej wody pustych słów. Genjuszu niema. Niema Mickiewicza piszącego Odę do młodości. Musimy ją zastąpić prozą zwykłej mowy. Jaką pobudką trzeba wzywać młodzież patrjotyczną do pracy i boju?

Niech będzie przeklęta walka klas. Nie tylko wszystko, co żyje, ale nawet wszystko, co istnieje, pozostaje ciągle w stanie obrony swego bytu. Nie tylko ludzie, zwierzęta i rośliny, ale przedmioty martwe ścierają się z sobą samą siłą swych różnic. Dwa prądy odmiennych temperatur wywołują ruch powietrza i wody. Co innego wszakże są tego rodzaju procesy naturalne, a co innego sztuczne. Taka walka klas, jaka obecnie toczy się sposobami agitacyjnemi, jest wojną ciągle podniecanych nienawiści, dążącą do zniszczenia. Nie różni się ona wcale od wojny państw i narodów, tak potępianej przez wyznawców i przywódców walki klas. Jeżeli zaś ta ostatnia ma być konieczną, sprawiedliwą i pożyteczną, to taką powinna być również Hobbesowska *bellum omnium contra omnes* — wojna wszystkich z wszystkimi. Bo przecie niema w społeczeństwie dwu istot tak jednakowych, jak równomierne figury geometryczne. Każdy człowiek jest mniej lub więcej różny od innych, a więc każdy powinien walczyć z innymi. Czy to może być hasłem współżycia jednostek ludzkich, czy według niego może ustalić się harmonja społeczna? Jakąkolwiek formę przybrałyby zorganizowane zbiorowiska ludzkie, w każdej objawiać się będą różnice ich pierwiastków i związków, a więc w każdej zasada otwartej walki musiałaby doprowadzić do rozstroju i wzajemnego zniszczenia. Czy przeciwieństwo zachodzi tylko między bogactwem i ubóstwem, między kapitałem i pracą? Podobnych przeciwieństw jest i zawsze będzie bardzo wiele. Czy więc walka między niemi ma trwać wiecznie, czy też one powinny dążyć do harmonizacji?

Szczęśliwym jest człowiek, znający tylko jedną istotę, którą może kochać bezwzględnie. To też najgorętszy patrjota nie kocha każdego ze swoich rodaków, ale miłuje wszystkich razem połączonych jako całość, bo w tej całości żyje droga mu dusza, rozpuszczony jest w jej krwi pierwiastek według niego najszlachetniejszy. Jak niema rośliny ogólnej, którąby wszędzie wyglądała jednakowo, jak niema kwiatu, któryby wszędzie miał ten sam kształt, woń i barwę, tak nie ma jednolitej ludzkości, są tylko jednolite narody. Ludzie zaś tylko w narodach są siłami, tworzącemi te dobra i wartości, które przez każdego człowieka są najbardziej pożądane i cenione a zarazem składają się na ogólne bogactwo kultury świata. Dlatego należy kochać swój naród. A kochać go nie tylko uczuciem biernem, ale staraniem czynnem — wytężoną pracą, czujną troską, potęgowaną i rozszerzaną na wszystkie warstwy, wiedzą i sztuką, doskonalonym dobrobytem, rozumnem i szanowanem prawem. Człowiek ucywilizowany odszedł daleko od pierwotnej dzikości i barbarzyństwa, ale zachował wiele przeżytków i wstrętnych nałogów z tych epok. Nie wyrwał ich jeszcze aż do ostatniego korzonka ze swej natury, nie może rozstać się z niemi, pozostaje ciągle mniej lub więcej brutalnym chamem. Jest nim jako egoista, jako głupiec, jako zbrodniarz, jako gwałciciel prawa, jako okrutny pan i upodlony sługa, jako rozbestwiony tyran i korny poddany. Nie tyle w naszym narodzie, ile w naszem państwie, zamąconem obcemi i przeważnie rozkładowemi domieszkami, podminowanem prądami rewolucyjnemi, które z istoty swojej są brutalne, wstrząsanem przez ordynarne ambicje osobiste, chamstwo wielopostaciowe rozpostarło się szeroko. Tępić je — to zadanie ważne i obowiązek pierwszorzędny.

Nie wiem, w jakiej mierze nowe pokolenie obywateli uświadamia sobie to zadanie i ten obowiązek, ale wiem, że ono już je zrozumiało i uczuwa w sobie zarówno chęci, jak siły do usunięcia fatalnych skutków niewoli i potrzebę uzdrowienia narodu w atmosferze prawdy i uczciwości. Jeżeli tak jest, to młodzież polska, daleko bardziej niż każda inna, musi być przejęta wiarą i powagą swego posłannictwa. Już nie może jej wystarczać samo ozdabianie i oświetlanie własnych dusz, samo wyczerpywanie radości życia z najczystszych jego źródeł, musi ona jeszcze do tych starań dołączyć obywatelską powinność i patrjotyczną ambicję reformatorstwa. Nie możemy długo pozostać takimi, jakimi jesteśmy i posuwać się temi manowcami, na których błądzimy obecnie, jeżeli nie mamy zmarnieć, zginąć jako niepodległy i kulturalny naród, lub trwać jako nędzna, pogardzona, ubezwłasnowolniona reszta straconej wielkości. Potrzeba nam wewnętrznego odrodzenia się nie w znaczeniu zgrai nadużywającej tego

wyrazu i pokrywającej jego fałszem nadużycia osobiste lub partyjne, nie obwarowywaniem samowoli, bezprawia, gwałtów, zbrodni i wszelkiego chamstwa. Tu nie chodzi o politykę, o chowanie prawdy w tajemnicę a wystawianie kłamstwa na pokaz, o hazardowną grę w pozory, udające rzeczywistość, o bicie pokłonów silnym, a urąganie słabym, o bałwochwalstwo kultu i fabrykowanie czasowych bogów, tu chodzi o moralność zamiarów i czynów, o tę moralność, która jest jedna dla wszelkich pobudek i postępków, o tę moralność, którą zdegradowano do użytków prywatnych, a wyrzucono z publicznych, która jednak mimo triumfów niegodziwości pozostanie wiecznie najwyższem przykazaniem dla ludzkiej woli. To przykazanie pragniemy widzieć i widzimy już w katechizmie młodzieży, dzieci wolnej Polski. Niech nas ona nie zawiedzie.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

GDZIE SIŁA A GDZIE SŁABOŚĆ?

DZIENNIKI donoszą o solidarnym ruchu protestacyjnym na Pomorzu z powodu stanu rzeczy, wytworzonego przez Calondera na Śląsku. Jednocześnie na szeregu wieców wyrażono gorące uznanie dla ludności polskiej Śląska Opolskiego, stawiającego opór prześladowaniom niemickim.

Wydarzenia na Śląsku i objawy solidarności z nim ziem polskich b. zaboru pruskiego przypominają opinji polskiej obowiązek baczenia na to, co się tam dzieje. Knowania filogermańskie odwracają naszą uwagę od terenów, gdzie toczy się walka o byt Polski na ziemiach, skąd jej ród.

Pozwolimy sobie przy tej okazji na notatkę historyczną. W r. 1901 wielkie wrażenia zrobił memorjał, złożony przez pewnego wybitnego Niemca rządowi pruskiemu, a stwierdzający wzrost sił polskich na Śląsku. Oto jego słowa:

„Górny Śląsk, ta potężna twierdza (pruska) — w oczach naszych rozwija się i rośnie, jako czynnik rdzennie polski. Nie wiem, czy zbyt śmiałem jest przypuszczenie, że za lat kilkanaście Śląsk będzie najsilniejszym posterunkiem polskim w Prusiech...

„Przy zawikłaniach dyplomatycznych mówiło się dotąd tylko o możliwości oderwania W. Księstwa i Prus Zachodnich. Gdy narodowe odrodzenie Górnego Śląska będzie postępowało, będzie można i Górny Śląsk wciągnąć w obręb możliwości oderwania do Polski".

Jan Popławski redagował wówczas we Lwowie dziennik pt. „Wiek XX". Otóż z powodu tego memorjału w nr. 591 (z 25 grudnia 1901 r.) pisał:

„Polski lud, postawiony w pierwszych szeregach bojowników sprawy narodowej i prowadzony przez inteligencję, która z tego ludu wyrosła, potrafi połączyć te trzy części plastowskiej Polski w całość, silną wspólnością pochodzenia, warunków bytu, dążeń i ideałów, a wtedy liczyć się z taką rosnącą potęgą czy w pokoju, czy w wojnie będzie musiał każdy rozsądny polityk.

„Nie chwytamy dziś za kosy, nie zbieramy broni do orężnej walki, ale rozporządzając krociami rąk polskich, wiemy, że nie jesteśmy czemś bezwartościowem, coby pominąć można w chwili przesilenia. Powinniśmy sobie jasno zdawać sprawę z konieczności przygotowania się na wypadek wojny niemiecko-rosyjskiej. Niemcy dążą do złączenia wszystkich prowincyj niemieckich, szczególnie zaś tych, które obecnie stanowią część monarchji austryjackiej i dążyć tam muszą w naturalnym dziejowym rozwoju, ale o takiem powiększeniu ich potęgi ani mowy być nie może, jak długo Rosja z Francją sprzymierzona z dwu stron zagraża ich bokom. Przyjdzie więc, przyjść musi wprzód do krwawej między Prusakiem i Moskalem rozprawy. W chwili tej naród polski powinien już stanowić świadomą, zorganizowaną, niezawisłą moralnie, ani nawet nie związaną z żadnym z zaborców siłę (Popławski pisał pod cenzurą austryjacką, więc ostrożnie wymijał Austrję. — Prz. Red.). Jeśli ta chwila znajdzie nas niewolnikami carskimi czy królewskimi, to oprócz krwi przelewu i spustoszenia nie przyniesie nam nic zgoła, bo nikt za nas, bez nas pracować, ni walczyć nie będzie.

„Pamiętajmy — kończy Popławski — że nie zniszczy nas ni Moskal ni Prusak, ale zgubić może i musi niewiara we własne siły, niedołęstwo szukające zawsze jarzma, pod bat kładące głowę niewolnicze upodlenie".

Prorocze widzenie Popławskiego należało przytoczyć, aby uprzytomnić tę prawdę, że myśl, która Polskę wyprowadziła na drogę wolności, zawczasu pracowała, nie grała ona w hazard, lecz opierała się na wierze w naród — w lud polski.

Krew polska jest siłą, która nam byt wolny dała, cementem naszej budowy. W nią wierzył Popławski i ta wiara stała się fundamentem niezawisłości myśli polskiej: „nie zniszczy nas ni Moskal ni Prusak, ale zniszczy niewiara we własne siły — niewolnicze upodlenie".

Tą wiarą zwyciężyliśmy. Lecz gdy naród choćby na chwilę odsunięty od tego głosu krwi, gdy w nim zawaha się myśl, czy nie lepiej bez wysiłku własnego oddać się pod jarzmo cudzych czynników, myślących za nas, które nam zapewnią byt w mechanicznej równowadze sił, nie wymagającej wysiłku organicznego całego narodu jako całości, wtedy odrazu ujawniają się dwa skutki: 1) na wewnątrz — wzrasta ferment społeczny, jako radykalizacja życia, 2) na zewnątrz — upada powaga narodu. Tam, gdzie już był spokój, nakazany moralną postawą narodu, ośmielona podnosi się buta wrogów, stosunki stają się pastwą intryg. Wtedy państwo będzie narażone na drwiny nawet ze strony najmarniejszych tworów politycznych.

Niech nam więc pamiętne będą słowa Popławskiego, aby się nie marnowało to, co już zdobyto fizyczną i moralną siłą krwi polskiej.

Z. W.

„KATOLIK LUDOWY"

Niemałą korzyścią ostatnich wyborów jest zamknięcie drogi do marszałkostwa w sejmie p. Ratajowi. Byłoby oczywiście jeszcze lepszym wynikiem gdyby tego konika zupełnie usunięto z szachownicy parlamentarnej. Ale skoro już na niej został, dobrze przynajmniej, że będzie tylko figurą podrzędną. Przesunął się on przed sądem opinji publicznej bez ciężkiego oskarżenia, a jednak właściwie był głównym współpracownikiem tej złej roboty politycznej, która trwa dotąd.

Aleksander Świętochowski

(„Myśl Narodowa" z 1 kwietnia 1928 r.)

CZYTAMY w rocznikach „wielkiej rewolucji", że 7 lipca 1792 r. biskup Lugdunu, Hadrjan Lamourette, tak rzewnie i czule przemówił pod adresem lewicy Zgromadzenia Ustawodawczego, iż wszyscy w parlamencie rzucili się sobie w objęcia. Symbolicznete uściski noszą odtąd w historji francuskiej miano „pocałunków Lamourette'a". Kiedy 27 marca 1928 r., nie biskup i nie filantrop w stylu epoki Oświecenia,

ale pan Maciej Rataj zbliżył się do nowowybranego marszałka trzeciego sejmu warszawskiej Rzeczypospolitej polskiej, p. Ignacego Daszyńskiego i na znak radości z jego wyboru uścisnął jego prawicę, zaraz pomyślałem, że to nowy „pocałunek Lamourette'a". P. Rataj, chociaż nielada *constitutionnel*, jak Lamourette, który przysięgał przecież na „konstytucję cywilną" kleru francuskiego, nie jest tak jak tamten, lazarystą, a jednak....

Tegoroczne zapusty przedwyborcze obfitowały w pewną ilość maskarad. Niestety mieszano w nich *sacra profanis*. Niejeden z polityków naszych pojawiał się na wiecach i wstępował na trybuny prasowe przebrany do niepoznania. Obok Montalembertów z „Dnia polskiego" widywaliśmy miniaturowych Windhorstów i Donoso Cortesów swojskiego chowu. Do tych ostatnich należał pan Maciej, otwierający, jako czołowy kandydat, listę „katolicko-ludową" nr. 25 z takim aplombem, jakgdyby za czasów swoich lwowskich był jednym z zelantów sodalicji, a za czasów poselskich i marszałkowskich ryzykował laskę dla poprawienia warunków konkordatu i prezentował się wyborcom na platformie walki ze ślubami cywilnemi.

Ma rację Świętochowski w zacytowanym wyżej aforyzmie. Jeśli nie wie dokładnie, to przeczuwa, że p. Rataj był stale złym duchem p. Witosa. Ten ostatni miał się kiedyś przed kimś wyrazić, że masony są jak krety: ledwo ich z jednego wypędzi się kretowiska, natychmiast przekopują się pod drugie. Nie twierdzę, że stary „Piast" był tego rodzają kretowiskiem, w momencie jednak, kiedy walka z masonerją tak jest na ustach wszystkich, że nawet nabożna autorka „Kontryfałowych lichtarzy św. Agnieszki" lży w „Głosie Prawdy" swoich przeciwników od masonów, sam czytałem w „Słowie", organie reakcyjno liberalnym, iż — nawet z punktu widzenia „sanacyjnego" — p. Rataj nie był odpowiednim na czołowego w kraju katolickim kandydatem.

Opowiadają wtajemniczeni, że w naszej podupadłej Norymberdze a niedoszłym Manczesterze, w Krakowie, który w długim swoim żywocie dużo już widział niesamowitości: Twardowskiego na Krzemionkach i alchemików na Zamku, nie licząc tylu kabalistów i talmudystów na Kazimierzu, dziwna scena — tym razem na Biskupiej — rozegrała w wieczór wyborów. W lokalu Ymki, która zjednoczyć chce wszystkie narody, wszystkie wiary, tembardziej zaś wszystkie listy, spotkali się — jeden po klęsce, drudzy po zwycięstwie — dwaj kandydaci z jedynki i jeden z „katolickiej" listy nr. 25. I ten „katolik" a zarazem prezes Ymki uścisnął *sans rancune* dłoń kontrkandydata, szczerym tylko przypadkiem zahipotekowanego — tym razem na Zwierzyńcu — na posesji Kościoła Narodowego. Cieszyłby się nieboszczyk Natan Mądry, widząc takie bratanie się pod gościnnym dachem p. Rosego i Spółki „katolików ludowych" z partyjnymi i nieświadomymi herezji hodurowcami.

P. Rataj, nim został takim „katolikiem", nie od wczoraj hołdował telerancji i liberalizmowi posuniętemu tak daleko, że musiał mile być widziany u potężnych popleczników wszelakich Ymek i kościołów narodowych na Zachodzie i Wschodzie. Historja myśli politycznej polskiej po odzyskaniu niepodległości zanotuje bowiem, że był on tym, który — w imieniu ówczesnego „Wyzwolenia" — w gorącym okresie walk o Lwów, o Śląsk, a także o konstytucję, wniósł do laski marszałkowskiej 6 maja 1919 osławione, bombastyczno-wolnomyślicielskim zredagowane stylem „Podstawy ładu Rzeczypospolitej Polskiej". Owiany, z zewnątrz i na wewnątrz mocno wówczas wiejącym wilsonowskim wiatrem, który — na równinach polskich — spotykał się i kojarzył z innym, ostrzejszym a wiejącym od wschodu, projekt, adoptowany przez p. Rataja, przyjmował dla Polski jako podstawę konstytucyjną republikańskiego „związku obywateli" — „społeczności gminne" nietyle pachnące gminą amerykańską, co „mirem" rosyjskim. W dziwnej zgodności z leninowską ewangelją odrzucał wówczas późniejszy herold i Rejtan sejmowładztwa „sprzedajny i zgniły parlamentaryzm", a przyjmował natomiast tak skrajnie rewolucyjne zasady, jak powierzenie sądom przysięgłych czyli ludowi sądownictwa nawet w sprawach cywilnych. Dodajmy, że ówczesne ingredjencje p. Rataja były nadto pikantne nawet na wytrzymałe zwykle podniebienie „Kurjera Porannego", który w numerze z 29 maja 1919 tak je określał: „Ze względu na komunistyczną treść i dekoracje patrjotyczne, Podstawa ładu Rzeczypospolitej to jakby bolszewizm w kontuszu".

Czy należy przypuszczać, że pan Maciej, wdziawszy kontusz marszałkowski, wyzbył się pierwotnego swego „bolszewizmu", który mu imputował był przedtem bratni „Kurjer Poranny". Wątpimy. Zanadto przez lat pięć popierały go wszelkie te żywioły, którym zależało na gruntowaniu w Polsce „podstaw nieładu Rzeczypospolitej".

Już po zamachu krakowskim 1923 r., w którego niedołężnem stłumieniu tak zgubną p. Rataj, jako marszałek Sejmu, odegrał był rolę, pozwalaliśmy sobie piętnować go — na łamach publicystyki szczerze konserwatywnej — jako *homme néfaste* i porównać do „grabarza" parlamentaryzmu francuskiego, starego Brissona, owego prezydenta izby, co to w tragicznych chwilach bratniej republiki miał zwyczaj dawać z wysokości swego prezydjalnego stolca „znak rozpaczy": „Do mnie, synowie wdowy!" Dziś kończę wyrazem nadziei, wyrazem, który płynie u mnie z istotnie konserwatywnego zrozumienia, jaką wagęby mieć mogła w stosunkach naszych prawdziwa „katolicko-ludowa" partja nie krzywiona, jak dotąd i wykolejana matactwami międzynarodowej masonerji, że w obecnym sejmie działacze „Piastowi" nie będą składali „wdowich groszów" swej społecznej i politycznej pracy do urny, nad którą w przeszłym sejmie czuwał — wedle wyrażenia „Kurjera Porannego" — „bolszewik w kontuszu".

K. M. MORAWSKI

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Wybór Marszałka Sejmu—Zgodna współpraca— Stanowisko Klubu narodowego — W Królewcu i w Berlinie — Podróż min. Zaleskiego do Rzymu.

W POLITYCE wewnętrznej niewątpliwie najważniejszem wydarzeniem ostatnich tygodni był wybór na Marszałka Sejmu—wbrew „zaleceniu" p. Prezesa Rady Ministrów — przywódcy Polskiej Partji Socjalistycznej, pos. Ignacego Daszyńskiego. Kandydatura p. Daszyńskiego zdołała skupić głosy wszystkich ugrupowań lewicowych i mniejszości narodowych, natomiast „zalecona" kandydatura p. wicepremjera Bartla potrafiła pozyskać jedynie... posłów z Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Klub narodowy oddał swe głosy na własnego kandydata, b. wicemarszałka Sejmu pos. Aleksandra Zwierzyńskiego.

Bardzo znamienne było zachowanie się obozu „sanacyjnego" wobec wyboru pos. Daszyńskiego na Marszałka. Na wieść o wyborze, posłowie z „jedynki"

demonstracyjnie opuścili salę sejmową, następnie zaś w sposób manifestacyjny odmówili wystawienia jakiejkolwiek kandydatury ze swego łona do prezydjum Sejmu. Prasa „sanacyjna“ nazajutrz po wyborze marsz. Daszyńskiego uderzyła w tony ponure i groźne jak dzwon pogrzebowy. „Sejm nowy nie dojrzał do pracy państwowej“ — pisał „Głos Prawdy“, używając w stozunku do przywódców lewicy epitetów: „kłamcy i szulerzy“. Spokojna zazwyczaj „Epoka“ uznała, iż wybór marsz. Daszyńskiego „nie może być zrozumiany inaczej, jak wyzwanie rzucone rządowi“, dodając w sposób znaczący, iż „może to mieć jaknajgorsze następstwa dla sejmu i państwa“.

Tymczasem nie zdarzyło się nic okropnego. Po kilku dniach do enuncjacyj prasy „sanacyjnej“ poczęły wkradać się tony łagodniejsze, pogodniejsze, a wkrótce pojawiły się nawet wspólne fotografje dwóch marszałków, Daszyńskiego i Piłsudskiego, naradzających się nad szczegółami współpracy Sejmu z Rządem. A gdy dnia 31 marca przyszło do głosowania nad preliminarzem budżetowym i ustawą o inwestycjach, ustawa—wbrew opozycji lewicy — uchwalona została w brzmieniu rządowem, ponieważ, jak zaznacza żydowski „Nasz Przegląd“, „na ławach lewicy nie było już zupełnie posłów“. Podobno rozeszli się do domów z powodu spóźnionej pory...

Stanowisko Klubu narodowego i jego pogląd na zadanie reprezentacji obozu narodowego w obecnym Sejmie sformułował z okazji dyskusji nad prowizorjum budżetowem prezes klubu, prof. Roman Rybarski. „Nie będziemy się pytali o to, — mówił — kto wniosek stawia, kto za nim głosuje, ale jaki jest ten wniosek; będziemy zachowywali się tak w każdej sprawie, będziemy oceniali tę sprawę z punktu widzenia naszego programu, nie ustępując od niego ani na krok“. Klub narodowy zgłosił szereg wniosków, między innemi wniosek o uchylenie dekretu prasowego i wniosek w sprawie zwalniania i przenoszenia urzędników i nauczycieli ze względów politycznych, oraz interpelacyj, między innemi w sprawie mianowania wbrew przepisom ordynacji wyborczej Generalnego Komisarza Wyborczego i w sprawie bezprawnego zawieszenia działalności Obozu Wielkiej Polski na terenie Małopolski Wschodniej.

W polityce zagranicznej zanotować należy bezpośrednie rokowania polsko-litewskie w Królewcu, w których wzięli udział minister spraw zagranicznych Zaleski i premjer litewski Waldemaras. Rokowania nie dały wyników merytorycznych, zgodzono się natomiast na utworzenie celem dalszych pertraktacyj trzech komisyj, a mianowicie: dla spraw bezpieczeństwa, spraw ekonomicznych i tranzytowych oraz sprawy ruchu sąsiedzkiego, pobytu i wjazdu mieszkańców obu stron. Pierwsza komisja obradować ma w Kownie, druga w Warszawie, trzecia w Berlinie. Czemu właśnie zgodzono się na Berlin, jako na miejsce, gdzie rodzić się ma porozumienie polsko-litewskie, nie wiadomo.

Coraz aktualniejsza sprawa opróżnienia Nadrenji przez wojska francuskie wywołuje w polskiej opinji publicznej zrozumiałe zaniepokojenie, zwłaszcza wobec coraz bardziej prowokacyjnych wystąpień ze strony odwetowców niemieckich. Ci wszyscy, którzy dla Polski pragną pewniejszych gwarancyj bezpieczeństwa, niż „rozbrojenie moralne“ i „duch lokarneński“ i rozumieją znaczenie sojuszów w życiu międzynarodowem, ze szczerą radością witają podróż ministra spraw zagranicznych Zaleskiego do Rzymu, oczekując, iż przyczyni się ona skutecznie do zacieśnienia węzłów przyjaźni i współpracy między Włochami a Polską i jej sprzymierzeńcami.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

PIERWSZA MIŁOŚĆ

ZAMIERZAŁEM właśnie zabrać się do napisania recenzji o wydanym niedawno tomie nowel Wandy Miłaszewskiej p. t. „Pierwsza Miłość,“[1]) gdy nie pytając o zgodę porwała mi go („tylko na jeden wieczór, przez noc przeczytam“) kuzynka, zdecydowana wielbicielka autorki „Zatrzymanego zegara“ i „Księżniczki Dagny“. Po kuzynce czytał „Pierwszą Miłość“ jej brat, po nim wuj, przybyły na kilka dni z prowincji, potem wujenka i dwie ciotki. Słowem zanim jeszcze przystąpiłem do próby oceny książki, już stanęło przedemną zagadnienie jej poczytności, konieczność wyjaśnienia, czemu właściwie zawdzięczają utwory Miłaszewskiej powodzenie, jakie zdobyły sobie pośród licznych rzesz czytelników. Zdaje mi się, że w pewnym stopniu przynajmniej „Pierwsza Miłość“ pozwalałaby udzielić na to pytanie odpowiedzi.

W pierwszej chwili rozwiązanie zagadki nie wydaje się łatwe. Miłaszewska pisze ciekawie, ale nie fascynująco, interesuje, ale nie przykuwa uwagi czytelnika w tym stopniu, aby stale z niecierpliwością oczekiwał, „co będzie dalej?“ W utworach jej trudno byłoby znaleść jakiekolwiek koncesje na rzecz obowiązującej na rynku literackim mody, dostosowywanie się do chwilowych gustów i zachceń publiczności. Problematy, jakie porusza w swych książkach, nie są ani specjalnie aktualne, ani ujęte w sposób mogący budzić sensację. Styl staranny, nie imponuje bogactwem, raczej zjednywa prostotą.

To też właściwa przyczyna poczytności książek Miłaszewskiej tkwi, mojem zdaniem, gdzieindziej. Jest nią przedewszystkiem zasadnicza postawa duchowa autorki, jej zasadniczy stosunek do życia i świata, przebijający z każdej karty jej utworów i nadający im swoisty, odrębny walor. Postaci, stworzone przez wyobraźnię Miłaszewskiej— to przedewszystkiem świat ludzi normalnych pod względem moralnym, ludzi, których mechanizm odruchów w dziedzinie moralnej działa pewnie i sprawnie, słowem ludzi, wyrosłych z określonej a wysokiej cywilizacji, która uformowała ich psychikę według określonego, szlachetnego typu. Znakomitym przykładem są pod tym względem nowele „Niebieskie oczy Ewuni“ albo „Balbina“. Jest coś niezwykle ujmującego w arystokratycznej postawie duchowej Miłaszewskiej, która nie potrzebuje zastanawiać się ani zgadywać, jakie stanowisko w tym czy innym konkretnym wypadku winna zająć ona, jako autorka, czy też bohater jej utworu, ponieważ odpowiedź na to posiada już zgóry daną w instynkcie, nie ulegającą zakwestjonowaniu, jedyną. To też polskość nowel Miłaszewskiej nie jest wyłącznie zewnętrzna, polegająca na tem, że akcja ich rozgrywa się „w kraju“. Jej prości ludzie, których w prosty sposób opisuje, zawsze są w swej niezbyt złożonej psychice ludźmi, należącymi do określonej, polskiej cywilizacji.

W dzisiejszej zwłaszcza twórczości nowelistycznej i powieściowej, gdzie właśnie w dziedzinie zagadnień moralnych tak często wszystko jest po parwenjuszowsku dowolne, teoretyzowane, zgadywane, gdzie tak częste są typy ludzi „z nikąd“, nie mających żadnego duchowego rodowodu, książki Wandy Miłaszewskiej nabierają tem widoczniejszej wartości i tem żywszego uroku. Na szczęście też dosyć jeszcze jest ludzi w Polsce, dla których ten właśnie urok nie jest pozbawiony znaczenia.

R.

[1]) Warszawa, 1928, nakładem księgarni F. Hoesicka.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W dniu 6 kwietnia r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Wacław Wolski. Wiele pracował na niwie poetyckiej. Umiłowenym rodzajem jego był sonet, w którym doszedł do znacznej poprawności formy, nie wolnej jednak od manjery. Wydał przed laty parę zbiorów poezyj. Przeważały w sonetach motywy krajobrazu, patrjotyczne, pod koniec religijne. Skala przeżyć duchowych dość skąpa. Stosunek jego do świata ograniczał się wejrzeniem estetycznem, a tkliwość znajdowała wyraz w łzach, które są w każdym bodaj utworze. Prowadził życie odosobnione, nie wytrzymując nerwowo zgiełku, zgorzkniały od mizantropji. Nie założył rodziny, borykał się z niedostatkiem. Ciężkie życie miał w czasie wojny (w Kijowie). Użyty potem do publicystyki wierszowanej w dzienniku socjalistycznym, gdy nie mógł innego znaleźć zarobku, zniszczył do reszty nerwy i zapadł w ciężką chorobę. Z zakładu pisywał, gdy był już zdrowszy, rozpaczliwe listy, tłómacząc się z przewinień wobec ludzi z obozu narodowego, z którymi od młodości współpracował. Nie można było mieć do niego żalu. Współcześnie z nim ginął z niemocy nerwów inny poeta, ś. p. Władysław Bukowiński. Obaj w przerwach tworzyli. Od ś. p. Wacława Wolskiego otrzymaliśmy po śmierci Kasprowicza sonet, który tu na pamiątkę podajemy:

Cieniom Jana Kasprowicza

Niby wirchy Tatr, duchem Ossy na Peljony
Piętrząc, śladem Adama, Tyś w niebiosów bramy
Grzmiał pieśnią Prometeja!... Tyś zerwał łez tamy
Bolejącej ludzkości, Jej Hijob natchniony!...

Na Twoją trumną Naród całun złotobłamy
Hołdu, wdzięczności rzucił!!... Polski — Antygony
Łzy płyną dziś po twarzy, w żałobie schylonej...
Polski, po Twem odejściu tak sierocej, samej!...

...Z tą dobą żalu, kiedy Adam nad Bosforem
Oddał ostatnie tchnienie, w łez czarnokolorem
Zamroczeniu Ojczyzny całej, zrównać chwilę

Można dzisiejszą, smutną, gdy Polska—Królewna,
Żałosna Antygona, szlocha w szarym pyle
Po Twym zgonie, stroskana, przyszłości niepewna...

WACŁAW WOLSKI

*

Tygodnik literacki ilustrowany „Tęcza", wydawany przez firmę wydaw. Św. Wojciecha w Poznaniu, w krótkim czasie zdobył sobie uznanie i poczytność w całym kraju. Złożyły się na to niepospolite zalety pisma zarówno literackie jak i ilustracyjne. Bardzo staranna i pomysłowa ręka kierownika działu działu wydawniczego firmy, Szczepana Jeleńskiego (Katerwy), postawiła pismo odrazu na właściwej drodze rozwoju. Obecnie kierownictwo literackie „Tęczy" przeszło w ręce znakomitego pisarza Emila Zegadłowicza. Sekretarzem redakcji jest od początku Jan E. Skiwski, znany czytelnikom „Myśli Narodowej", z doskonałych artykułów tutaj zamieszczanych, treści literackiej i filozoficznej.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Od kilku lat dzieła Kasprowicza są zupełnie w handlu księgarskim wyczerpane, pomimo to niema nakładcy, któryby przystąpił do nowego zbiorowego wydania jego pism. Kasprowicz jest poszukiwany dla szkół i po domach, wydanie nie groziłoby bynajmniej ryzykiem. Widocznie brak kapitału. Znalazł się nakładca prywatny na „Pieśń o żubrze" Hussowskiego, przełożoną z łaciny przez Kasprowicza. Wydanie będzie ozdobne z tekstami w obu językach. Firma Mortkowicza wydaje „Taniec zbójnicki" Kasprowicza z ilustracjami Skoczylasa. „Ruch Literacki" ogłosił wykaz poezyj Kasprowicza, rozrzuconych po czasopismach, a nieznany w książkowych wydaniach tego poety. Jest tego materjału na duży tom. Podobno prof. Uniw. Lwowskiego Wład. Tarnawski podjął się przygotowania do druku wykładów uniwersyteckich Kasprowicza.

*

Nowa powieść Stanisława Szpotańskiego „Synowie klęski" (Gebethner i Wolff) należy do najlepszych powieści, jakie w ostatnich latach w literaturze polskiej się ukazały. Talent powieściopisarski autora od czasu „Przysięgi" znacznie posunął się w górę. Obie pomienione powieści zlokalizowane są w Paryżu, poprzednia oparta jest na wątku zdarzeń współczesnych dla autora (czasy konferencji pokojowej); a jednak ta nowa, pomimo, że z materjału historycznego wysnuta, jest żywsza. Szpotański podczas długiego pobytu w Paryżu i studjów literackich nad epoką emigracji tak zżył się z przeszłością polskiego Paryża, że pisze o ludziach i zdarzeniach z lat 1832 — 1850, jakby to wszystko widział własnemi oczyma. W powieści tej spotykamy się z szeregiem historycznych postaci, jak: Mochnacki, Mickiewicz, Czartoryski, Kniaziewicz, Towiański. Pomimo realizmu, który ustosunkował te postaci według skali ówczesnej opinji, obecność ich robi wielkie wrażenie.

Opowieść jednak przykuwa uwagę czytelników swemi walorami literackiemi. Pisana energicznie, uderza bogactwem obserwacyj psychologicznych, wielką trafnością perspektywy historycznej i biegłością ręki w szkicowaniu. Mamy w tle powieści tłum postaci, z którego dobywa się na front rysunek kilku głównych figur powieściowych, doskonale utrzymanych do końca w charakterze. Niektóre z nich to studja, przynoszące zaszczyt pisarzowi. Należy do nich Pilchowski, typ trudny do pochwycenia ze śladów historycznych, jakie po nim pozostały, francuzki, panny Arlette i drugiej Matyldy i jej męża Ożegowskiego. Do subtelności obrazu należy refleks, padający na postaci Polaków, wskutek przeciwstawienia ich chrakterowi i obyczajowi Francuzów.

*

Utalentowany pisarz i zawołany myśliwy Juljan Ejsmond ogłosił niedawno nakładem Gebethnera i Wolffa, zbiór nowel — „opowieści o sercu zwierzęcem" p. t. „W puszczy". Jak zaznacza w przepięknie napisanej przedmowie Józef Weyssenhoff, autor „nie tworzy fantastycznych bajek, owszem tłumaczy nam znane instynkty i zwyczaje naszych zwierząt leśnych. Ale podobnie jak Kipling, usiłuje przeniknąć tajemnice ich dusz, rozumować i ich logiką, nie zaś zewnętrzną, ludzką logiką przyrodnika, lub strzelca".

W rzeczywistości jednak, to wspomniane wyżej pokrewieństwo Ejsmonda z Kiplingiem wydaje się bardzo dalekie. U Kiplinga, niemal jak w klasycznych bajkach Ezopa czy Krasickiego, wilki, węże, pantery rozmawiają ze sobą ludzkim językiem, a poszczególne opowieści „Księgi Dżungli" są niekiedy wyraźną całkiem alegorją albo satyrą polityczną (np. Bandar-Log). Nic podobnego u Ejsmonda, co zadziwia tem bardziej, że potrafi on przecież równocześnie być świetnym bajkopisarzem. W jego nowelach zwierzęta są jedynie i wyłącznie zwierzętami, psychologja ich nie ma w sobie nic dowolnego, zgadywanego, wszystko tam jest uzasadnione, jako wynik rzetelnych obserwacyj pisarza, co z przyrodą zżył się w długiem, bliskiem i serdecznem obcowaniu. Jeżeli chcieć poszukiwać wśród autorów obcych talentu pokrewnego Ejsmondowi, to będzie nim nie Kipling, ale amerykanin Ernest Thompson Seton.

Książkę Ejsmonda czyta się ze szczerą wdzięcznościa dla autora, który potrafił ukazać czytelnikowi urok przyrody polskiej i odsłonić cząstkę jej tajemnic.

*

Olbrzymia pozycja, jaką jest twórczość Wyspiańskiego w kulturze narodowej, dzięki kilku szczęśliwym przedsięwzięciom wydawniczym uwydatnia się coraz bardziej. Ostatnią nowością w tym zakresie jest publikacja Towarzystwa Bibljofilów w Łodzi (i tam powstało przed niedawnym czasem) — p.t. „Zdobnictwo Książki w twórczości Wyspiańskiego". Autorem tej małej monografji jest p. Przecław Smolik. Zebrał on i reprodukuje w swem dziełku prawie wszystkie ornamenty graficzne, jakiemi ozdobił St. Wyspiański karty „Życia" i in. książek. Ta kolekcja reprodukcyj, których pierwowzory rozproszyły się i stały się już nieraz trudno dostępne, stanowi oczywiście główną atrakcję dla miłośnika Wyspiańskiego. Szkoda, że kolekcja ta nie jest kompletna, a mało już brak do jej uzupełnienia. Reprodukowane są także okładki książek Wyspiańskiego—jedne w kolorach oryginalnych, inne na planszach jednobarwnych—oraz ilustracje do „Iljady". Tekst p. Smolika podaje charakterystykę twórczości graficznej Wyspiańskiego. Zaciekawiają rozważania na temat zależności Wyspiańskiego od sztuki światowej—ile że zdumiewująco silna była własna indywidualność twórcza tego artysty. P. Smolik ustala, że przykład Grasseta rozbudził w Wyspiańskim zamiłowanie do ornamentów roślinnych i pchnął go do studjów nad zielnikiem. To możemy uważać za niewątpliwe, można natomiast żywić wątpliwości co do tego, czy sztuka Wschodu wywarła jakikolwiek wogóle wpływ na poetę naszych bławatków i mleczów.—Możliwości zdobnictwa w zakresie typograficznym ukazał Wyspiańskiemu zapewne reformator angielski W. Morris, ale tutaj, zdaje się, nie można zrobić ustaleń stanowczych. W każdym razie zgodzić się wypada na konkluzję p. Smolika, że „tymczasem... poza książka Wyspiańskiego niema dotąd książki istotnie polskiej".

*

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa ukazało się książkowe wydanie komedji romantycznej „Farys" Stanisława Miłaszewskiego. „Farys" posiada już trwałe miejsce w polskiej literaturze. O wartościach poetyckich tego dzieła pisaliśmy przed rokiem, z okazji wystawienia go w warszawskim Teatrze Narodowym. Obecnie notujemy tylko fakt ukazania się książki, oddawna przez miłośników poezji oczekiwanej.

*

„Bibljoteka Narodowa“ wydała świeżo dwa tomy, poświęcone dziejom i poezji Konfederacji Barskiej, opracowane przez gruntownych znawców przedmiotu, prof. Konopczyskiego i dr. Kolbuszewskiego, a oparte o rozległe poszukiwania archiwalne. Obydwa te tomiki, unikając jednostronności i przesady, dają jednak obraz całej imprezy Barskiej naogół ujemny, i bardzo daleki od literackiej idealizacji ruchu przez Mickiewicza, Słowackiego czy Siemieńskiego, a upowszechnionej, niestety, śród naszej inteligencji. Prof. Konopczyński wykazuje, jak Bar stał się początkiem półtorawiecznej orjentacji anty-rosyjskiej, zamykającej oczy na niebezpieczeństwo pruskie czy austrjackie, oraz na ogólną konfigurację europejską, zaś dr. Kolbuszewski ocenia poezję konfederacką dość surowo, kwalifikując patrjotyzm jej twórców, jako „typowo saski“, oraz wykazując „brak szerszych horyzontów myślowych“, cechujący tę poezję, zaś „pod względem formy — prostotę, niekiedy zaś prostactwo“.

Tak to jedna jeszcze legenda, gorliwie krzewiona czasu niewoli, rozwiewa się przed naszemi oczami. Nie od rzeczy zwrócić uwagę, że niemal wszystkie te umarłe legendy były źródłem siły obozu legjonowego, oraz dzisiejszej sanacji. Z tego wniosek?...

*

Pożyteczną książką są świeżo wydane (nakładem drukarni „Rola“ J. Burjana, skład główny „Dom książki polskiej), charakterystyki literackie S t. B a c z y ń s k i e g o „Nasi powieściopisarze“. Ukazują działalność Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza, Reymonta i Żeromskiego, których talent i praca były słońcem niewoli i treścią spółczesnej im polskiej kultury. Z natury rzeczy analiza indywidualności tak różnych i twórczości tak obszernych musiała ograniczyć się do ujęcia ich rysów zasadniczych, ale krytyk wywiązał się z powziętego zadania w sposób sumienny, możliwie wyczerpujący i przejrzysty. Oni, to najwybitniejsze typy społeczne swej epoki, tak jak nimi byli pisarze epoki zygmuntowskiej, saskiej i stanisławowskiej.

W książce „Nasi powieściopisarze“, tak jak i w studjach Baczyńskiego o polskiej literaturze romantycznej, widzi się dziwną dysproporcję związku i zależności naszego narodu z jego sztuką dawniej a dziś. Dziś ta łączność, jeśli wogóle istnieje, to jest rażąco luźna, dzika. To też tem cenniejszem zdarzeniem jest wydanie tego epitafium nigdy niespożytych zasług wyżej wymienionych budowników polskiej umysłowości w minionych latach.

U SŁOWIAN

Ukazał się ośmnasty rocznik „Kalendarza Słowiańskiego“ („*Sławjanski kalendar*“), wydawanego w Sofji przez tamtejsze „Towarzystwo Słowiańskie“. Rocznik bieżący poza częścią kalendarzową poświęcony jest w całości przypadającemu w tym roku pięćdziesięcioleciu oswobodzenia Bułgarji (pokój San-Stefański). Ozdobiony portretami „cara-oswobodziciela“ (Aleksandra II.) i generałów rosyjskich, zawiera artykuły: S. S. Bobczew (prezes T-wa): 50-lecie ideału narodowego. — E. Spektorskij: Rosja — oswobodzicielka—T. Sziszkow: Rzut oka na wojnę rosyjsko-turecką.— Pierwszy artykuł (prof. Bobczewa) przypomina, że nie został osiągnięty ideał narodowy, wielka Bułgarja, stworzona przez pokój w San-Stefano, pierwotny jej obszar został znacznie traktatem berlińskim obcięty. I dziś jeszcze część terytorjum bułgarskiego jest pod obcem panowaniem.

*

W dwudziesty rok istnienia wstąpił znakomity praski miesięcznik *Slovansky Prehled*, redagowany nadal przez A d o l f a C z e r n e g o. Pierwszy numer bieżącego rocznika zawiera: U wstępu XX roczniku (A. C.)—Dziesięć lat literatury Rosji Sowieckiej (M. L. Slonim)—Pierwszy kryzys czeskiej słowiańskości (K. Krejczí) — Rusini w Jugosławji (F. Tichy)—O próbie syntezy dziejów Słowiańszczyzny (J. Slavik). Nadto szczegółowy przegląd politycznego i kulturalnego życia Słowian, oceny książek i sprawozdania. *Polonica* są w tym numerze b. liczne. W pierwszym rzędzie należy tu początek studjum K. K r e j c z e g o o wpływie powstania listopadowego na odrodzenie narodowe Czechów. Znajdujemy tam uwagi o podziale opinji czeskiej na ruso — i polonofilską. Dalej są tam artykuły: o teatrach warszawskich, sztuce plastycznej („Sztuka“ krakowska), jubileuszach (Świętochowski, Estreicher) i rocznicach (Wyspiański) i in. Przegląd polityczny stara się osiągnąć objektywność.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

F r a n ç o i s M a u r i a c, tak oryginalny autor „*Genitrix*“ i „*Désert de l'Amour*“ daje nam nową i nie mniej ciekawą powieść „*Destins*“ (Grasset). Wgronie współczesnych pisarzy autor ten zajmuje miejsce wyjątkowe i to zarówno przez swoj styl jak i przez dobor tematów powieści. Bohaterowie jego idą w życie obarczeni wszelkiemi ułomnościami duchowemi i fizycznemi. Stąd walka, powodowana pokusami i ścierania się natur djametralnie przeciwnych. W „*Destins*“ François Mauriac z ogromną przenikliwością psychologji odmalowuje nam starszą, a energiczną kobietę Elizabeth Gorcan, w której duszy budzi się na schyłku życia miłość do młodego Roberta, przezwanego Bob. Ale ten ostatni kocha Paulinę i pragnie, dzięki temu nowemu, a czystemu uczuciu odrodzić się. „Przeznaczenie“ inaczej postanowiło o jego losie. Paulina odwroci się od niego, gdy dowie się dokładnie o jego życiu, a Bob zostanie pociągnięty w wir dawnej egzystencji i zginie w wypadku samochodowym. Śmierć jego jednak wstrząśnie do głębi sercem Elizabety, która daremnie będzie szukała pociechy między swymi. Obojętna nawet na losy własnego dziecka, dopiero po czasie znajdzie ukojenie. Cała ta powieść owiana jest jest atmosferą tajemniczości uczuć, które nieświadomie się rodzą i umierają.

*

M a u r y c y M a e t e r l i n c k po „*La Vie des termines*“ wydałe obecnie „*La Vie de l'Espace*“ (Fasquelle édit.). Nigdy może bardziej, niż obecnie nie pociągało umysłów zagadnienie przestrzeni, która dla Maeterlincka nie ogranicza się wyłącznie do trzech wymiarów, ale idzie on na podbój „czwartego“. Maeterlinck wprowadza nas też w tajemnice tej nowej „geometrji“. Jeden z bardziej przystępnych rozdziałów tego utworu, to rozdział o snach. Autor zaleca ich „kultywowanie“, staranne zanotowywanie po przebudzeniu, aby móc później sprawdzić, jaki jest ich stosunek do realizacji w przyszłości.

*

Jako odbitka z pisma włoskiego „*Rivista Maritima*“, wyszła broszura p. R e m o R e n a t o P e t i t t o p. t. „*La polonia sul mare*“ („Polska na morzu“). Autor który nie raz zabierał głos w prasie włoskiej w sprawach Polski, daje tu zwięzłą historją stosunków Polski z Gdańskiem i zwraca uwagę na obecny stan rzeczy, wytworzony wskutek traktatu wersalskiego. Broszura pisana ze znajomością rzeczy, podkreśla wysiłki Polski w celu uniezależnienia się od Gdańska przez stworzenie własnego portu w Gdyni.

*

Najwybitniejszy znawca spraw ustrojowych imperjum Brytyjskiego, profesor uniw. odynburskiego, A. B. R e i t, opracował drugie wydanie swojego dzieła o „Rządach parlamentarnych w dominjach“ (Oxford, Clarenden Press, 1928), gdzie omawia wszystkie ważniejsze kwestje, dotyczące prawno-politycznego stanowiska dominjów. Jest to praca podstawowa. Poprzednie jej wydanie wyszło w r. 1912. Teraz rzecz objęła już i Konferencję imperjalną z r. 1926, o której tak głośno było przez czas jakiś w prasie europejskiej. Autor dowodzi, że rewolucyjne napozór uchwały konferencji, która dominja zrównała w zasadzie z Anglją, jako autonomiczne jednostki w łonie imperjum, w istocie są tylko sformułowaniem pisemnem zasad, którémi praktyka naogół rządziła się już wcześniej.

*

Do świata angielskiej polityki imperjalistycznej wprowadza świeżo wydana książka jednego z wybitniejszych polityków tego kierunku, lorda S y d e n h a m a, zatytułowana: „Uwagi imperjalisty o wojnie, Indjach i socjalizmie“ („*Studies of an Imperialist on War, India and Socialism*“, wyd. Chapman and Hall). Autor był przez długie lata sekretarzem Komitetu Obrony Imperjum, położył zasługi w pracach nad zreorganizowaniu Sztabu generalnego, ze sprawami Indyj zapoznał się, sprawując przez szereg lat urząd gubernatora prowincji Bombaju. „Imperjum było mojem natchnieniem“ — pisze w przedmowie — „a sprawa jego bezpieczeństwa i postępu jedyną myślą moją. Jestem zdania, że niebezpieczeństwa, natury psychologicznej raczej, niż rzeczowej, stające dziś przed narodem angielskim nawewnątrz i nazewnątrz, są groźniejsze od wszystkich, jakim kiedykolwiek zajrzeliśmy w oczy w całej naszej zmiennej koleją toczącej się historji“.

*

Politykiem — imperjalistą starej szkoły był lord Curzon, który znalazł jasnego biografa („Życie lorda Curzona“—„*The Life of Lord Curzon*“, tom I, napisał l o r d R o n a l d s h a y. Wyd. Ernest Benn, Londyn.) Zmarły polityk, jedna z pierwszoplanowych figur w zamkniętym rozdziale angielskiego życia publicznego, autor tak niefortunnej w pomyśle „linji Curzona“ — nie był właśnie specjalistą od spraw europejskich Uważał, że gwarancja bezpieczeństwa od strony kontynentu leży w „indywidualnej wrogości ku Anglji wszystkich mocarstw europejskich“, i grę dyplomatyczną podsycania sporów między niemi uważał za pewną. — Pomysł „linji Curzona“, mający w zarodku, uśmiercić Wielką Polskę, dowodzi, że Curzon trzyma

się idei redukowania siły poważniejszych jednostek politycznych w Europie nawet wtenczas, gdy ta koncepcja w zmnienionych warunkach powojennych była już oczywiście przestarzała. — Prawdziwym był zato znawcą zagadnień azjatyckich, i te zawsze najbardziej go pociągały. Już w r. 1898 zamierzył sobie „opracować szereg tomów, któreby objęły cały kontynent azjatycki pod względem geograficznym, historycznym, entologicznym i politycznym“, — lecz pracy tej (dziwić się temu nie można) w całości nie wykonał. Zostawi tylko niektóre wyczerpujące studja (np. o Persji). Tom pierwszy biografji (zakreślnonej na trzy tomy) urywa się na czasach, poprzedzających objęcie przez Curzona urzędu wicekróla Indyj.

*

Ostatnio powieść Arnolda Bennetta nosi tytuł *„The Strange Vanguard“* („Dziwna awangarda,“ wyd. Cassel). Wśród setek beletrystów angielskich Bennett należy do pisarzy największego talentu, których utwory przeto warte są zanotowania. Zadziwiający temperament pisarski, dowcip i dar obserwacji — oto zalety, na które zawsze może liczyć czytelnik, biorąc do ręki książkę Benneta. Autor to zdolny nawet do poetyckiego widzenia życia (p. *„Clayhanger“*), a choć, dzięki nałogowi zbyt pośpiesznej produkcji, rzadko dłużej utrzymać się potrafi na poziomie poetyckiej wizji, to jednak zawsze tyle nadrobi talentem, że nigdy nie zawiedzie, jako dostawca lektury naprawdę przyjemnej.

*

G. K. Chesterton wprowadził świeżo do dramatu ulubioną swą postać d-ra Johnsona, jedną z najpopularniejszych w angielskiej tradycji literackiej. Johnson, wszechstronnie uzdolniony pisarz, zostaje w pamięci Anglików jako jedna z najbardziej niezależnych i samodzielnych głów w angielskiem XVIII stuleciu. On to, w pamflecie p. t. *„Taxation no Tyranny“* („Opodatkowanie nie jest tyranją“) potępił ze stanowiska nacjonalistycznego bunt kolonij amerykańskich przeciw macierzy, wywołany przecież niezadowoleniem z ucisku fiskalnego. Opinja angielska, po oderwaniu się Stanów Zjednoczonych, stanęła jednak na stanowisku, że względy fiskalne w istocie mogły bunt usprawiedliwić. Poglądowi temu przeciwstanił się energicznie Chesterton w „Krótkiej historji Anglji“ (1917), obecnie zaś przeprowadza swą tezę w dramacie: *„The Judgement of Dr. Johnson“* („Sąd d- a Johnsona“, wyd. Sheed and Ward), rozpiąwszy ponadto akcję żywą i zajmującą.

TEATR

DON KISZOT ST. MIŁASZEWSKIEGO

TEATR Polski w Warszawie wystawił w końcu marca „Don Kiszota“, fantazję sceniczną Stanisława Miłaszewskiego, osnutą na romansie hiszpańskim Cerwantesa (Miguel Cervantes Saavedra, 1547—1616) p. t. „Życie i czyny przemyślnego rycerza Don Kiszota z La Manszy“. Jednocześnie ukazała się w księgarniach, wydana u Gebethnera i Wolffa komedja romantyczna Miłaszewskiego „Farys“, grywana w roku ubiegłym w teatrze Narodowym z olbrzymiem powodzeniem. Jak widzimy, poeta szukał już dawniej Don Kiszota na ziemi polskiej i znalazł go w osobie Emira Rzewuskiego. A przedtem, co właściwie wsławiło Miłaszewskiego jako poetę dramatycznego, poznaliśmy w jego znakomitej przeróbce dramat hiszpańskiego Zorilli „Don Juan“. Tem upodobaniem w motywach rycerskich wyjaśnia się też nakład pracy, włożony przez Miłaszewskiego, jako tłumacza, w „Epopeję rycerską“ Heidenstama.

Historja literatury mówić będzie w swoim czasie o Miłaszewskim jako o poecie, któremu było duszno we współczesności. W twórczości autora „Gestu wewnętrznego“ łatwo już dzisiaj spostrzec objawy reakcji na zazarzanie się szlachetnego polskiego realizmu w pospolitości poglądu materjalistycznego. Miłaszewski w piśmiennictwie dzisiejszem oznacza nawrót do idealizmu chrześcijańskiego.

Wiele już cyklów duchowych dokonała cywilizacja od czasów pierwotnego chrześcijaństwa, ale bodaj jeszcze nigdy człowiek nie odczuwał tak, jak dzisiaj, potrzeby odrodzenia życia. Im więcej mówi się w polityce o wolności, tem mniej jej mamy dla ducha, chadzającego w uniformie służbowym materjalizmu. Polakowi rasowemu tem dusznej wśród zacierającego indywidualność zmechanizowania duchowego, że tak niedawno jeszcze był romantykiem i rycerzem wolności, niemal Don Kiszotem.

Miłaszewski, jak to widać z jego dzieł, nie jest bynajmniej opóźnionym romantykiem wieku 19-go, zwłaszcza nie ma nic wspólnego z tą schyłkową romantycznością, która się zredukowała do manjery literackiego przeoczania rzeczywistości, zagubiwszy jej ślad w symbolach. Miłaszewski w takim jest dystansie do romantyki zeszłowiecznej, jak Cerwantes—do średniowiecznej. Wiąże go z tamtą poezją dziedzictwo formy, ale od wczesnego romantyzmu różni go w treści i postawie pierwiastek chrześcijański.

Don Kiszot Miłaszewskiego zdobywa swoją poetyckość nie tem, że jest fantastyczny i uczuciowy, lecz że wkracza z włócznią w świat niewidzialny, który mu się jawi jako byt realny. Człowiek zawsze miał na oku dwa światy, swój ziemski i drugi niewidzialny, ale ten drugi był przed chrześcijaństwem tylko dla wyobraźni nie tyle radosnej ile twórczliwej; stosunkował się też do niego raczej negatywnie, jakby się od niego salwować. Dzięki chrześcijaństwu ten świat niewidzialny stanął otworem dla w o l i człowieka, nietylko dla jego wyobraźni.

Don Kiszot zabudowuje ten świat wysiłkiem woli, jest rycerzem na jego rachunek i to mu pozwala znosić cierpliwie, nawet z pokorą wszelkie niepowodzenie na świecie, po którym stąpa.

Dzieje ducha nie znają większego przewrotu, jak ten, którego dokonał pogląd chrześcijański na świat. Duch znalazł dla siebie nowy wymiar. Olśnieniem z tego odkrycia trzeba tłumaczyć niepokój twórczości średniowiecznej, gospodarującej już czynnie na dwu polach. Pisarzom chrześcijańskim i chrześcijańskim ludziom czynu — rycerzom, przytomne są w oczach oba te tajemniczo z sobą połączone pola, z których doczesne, zamknięte w materji i doświadczeniu, tamtemu niewidzialnemu duszę zawdzięcza. Ta dusza robi z ludzi bohaterskich rycerzy, wojujących o wieczne ideały, które przerastają możność realizacyjną zmysłów i siłę umysłową obliczeń, nawet wszelkie prawo kultury.

Miłaszewski trafnie wyczuł tę chrześcijańską naturę idealizmu uczuciowego Don Kiszota. Niesłusznie tedy zganiono elegję Miłaszewskiego, którą Don Kiszot wygłasza wobec zbliżającej się śmierci, jakoby sztucznie związaną z Cerwantesową kreacją ducha chrześcijańskiego. Tylko temu duchowi zawdzięcza byt symboliczna postać. Don Kiszot swemu przyziemnemu otoczeniu czyni głębokie wyznanie:

— Sława była zawsze podniętą dla człowieka, do czynów nadludzkich, bo przez nią zyskiwał nieśmiertelność wśród ludzi.

I my walczymy chrześcjanie
O sławę, lecz wiekuistą!
Nie dla nas — dla Ciebie, Panie,
Na śmierć gotowi — *pro Christo!*
Nas mierzi sławy ułuda,
Co razem z ziemią przeminie...

Trzeźwe, przywiązane do świata niewidzialnego otoczenie Don Kiszota nie mogło pojąć uroku, któremu ulegał; uważano go też za „przygłupka“ lub zgoła za warjata, zlewano wodą, nawet zamykano w klatce. Miłaszewski jest średniowieczny przez to samo, że ma odwagę rycerską o tej złożoności ducha chrześcijańskiego naszym czasom literackim przypominać. Zgóry można było przewidzieć, że sztuka, mająca ten pierwiastek, choćby arcydziełem była, nie wzruszy umysłów, nie posiadających organu wyczuwania świata nadziemskiego.

Zawsze tak było z Don Kiszotem, że jedni się z niego naśmiewali, a zaledwie nieliczni widzieli w nim symbol szczytności. Widocznie ci drudzy drogę mu

ułatwiali, bo kroczy od 300 lat światem przez wszystkie zakątki. Cokolwiek ludzie o nim sądzą, wszyscy mu jednak współczują i kochają go. Coś jest w każdym sercu, co mu drogę ściele do duszy. Cerwantes pierwszy, który przecież obrał sobie Don Kiszota na to, aby w nim zabić pokutujący romantyzm średniowieczny, sam przysiadł się do niego na Rosynancie i cały świat sławą sobie podbił. Dlaczego? Bo go stworzył z miłości. Tak sobie Dickens dworował z Pickwicka, aż go polubił i przez to zrobił postacią do dziś żyjącą. Cerwantes bowiem nie wymyślił Don Kiszota, tylko go pokazał. Don Kiszot żył zawsze i żyć będzie, jeno od chrześcijaństwa, które wyzwoliło człowieka z więzów Losu, stał się rycerzem z tęsknotą nieukojoną do ideału i niepokojem w sercu, że winien jest światu jakiś wielki wyzwalający czyn.

Nie chcę wmawiać Miłaszewskiemu programu literackiego, ale upatruję w nim zasadniczy rys niepokoju odrodzonego chrześcijanina: widząc dokoła siebie Sanczo Pansów, szuka, gdzie się podział ich Don Kiszot i sprowadza go w nasze czasy. Wyłuskał go z Farysa, którego postać przed wiekiem przybrał Don Kiszot w Polsce. Farys miał też konia i Sanczę—Grzesia. W przeczuciu śmierci na polu walki rycerskiej Farys, gdy już trąbka bojowa gra, mówi:

— Mój koń rży! Zwyciężym — lub dziś, koniu, będziesz ze mną gnał przez step śmierci do cichej stajenki w Betlejem!

Don Kiszot również gotuje się do śmierci w ścianach domu rodzinnego i pogodnie, po chrześcijańsku patrzy jej w oczy. Obaj pokonywają w sobie żal, że tracą to, co umiłowali na ziemi — przez miłość wiedzie ich droga do świata lepszego. Ustaje niepokój Don Kiszota:

Kto się od świata oddala,
Rozumie, iż w stronę nieba
Przez dom rodzinny iść trzeba.
Nie myślcie, żebym znów szalał:
Już jestem zdrów — więc umieram.

Hidalgo Don Kiszot Miłaszewskiego jest rycerzem na rachunek zasług w innym świecie. To go robi nieczułym na dotknięcia doczesności i w tem znaczeniu odróżniam romantyzm jego od właściwego romantyzmu zeszłowiecznego w jego zaraniu, który był dumny, nawet grzeszył pychą.

Nie tylko zasługi rycerza są nie z tego świata, ale nawet przedmiot miłości — Dulcinea. Według koncepcji Miłaszewskiego kobiety takiej Don Kiszot nie widział i niema jej na świecie. Była to nadziemska *fata morgana* w duszy Don Kiszota. Okoliczność ta zaważyć mogła na ziemskich losach sztuki Miłaszewskiego. Publiczność bowiem żądna jest widoku miłości realizowanej i lubi dzieje dwojga serc przeżywać, tutaj zaś współczynnika dramatycznego miłości nie widzi.

W „Weselu“ Wyspiańskiego jest taka bohaterka, której nie widać, a którą tylko śni don-kiszotowe serce polskie. Bohaterką tą jest Polska. Miłaszewski ma taki kłopot z publicznością, jak tam Poeta z Panną Młodą. Pyta go ona:

— A kaz tyz ta Polska, a kaz ta? Pon wiedzą?

A on jej odpowie:

— Po całym świecie możesz szukać Polski, panno młoda, i nigdzie jej nie znajdziecie.

— To może i szukać szkoda?

— A jest jedna mała klatka, a niech tak Jagusia przymknie rękę pod pierś — a tam puka.

— Serce!

Otóż to. Publiczność może nie była od początku dobrze nastawiona przez autora do dramatu Don Kiszota. Miłaszewski może za mało uczynił w akcie pierwszym w celu, aby ona „przymknęła rękę pod pierś“ i słuchała sercem. Zbyt wiele polegał na tem, że to już zrobił za niego Cerwantes. Jest to dola spółek z dawnymi autorami, z którymi się przeżyło wiele, podczas gdy tworząc trzeba stawiać na nowo bez liczenia na to, że publiczność to samo już przeżyła. Za skąpo wypowiedział się lirycznie Don Kiszot w akcie pierwszym. Ten akt puścił go na długie dzieje ze zbyt jednostronnem świadectwem domowników, mających go za warjata. Należało mocniej zasuggerować publiczności jego linję idealistyczną i narzucić wyobraźni widmo Dulcinei. Poznawać musieliśmy Don Kiszota z czynów, które same przez się nie mogły dodawać mu powagi i wzruszać, iżby pod piersią „pukało“. Don Kiszot urasta w naszych oczach potem dopiero, gdy go poznamy głębiej z przepięknych scen końcowych. Wydaje mi się, że niewielkie przeróbki w tej części pierwszej znakomicie wzmocniłyby budowę sztuki.

Druga uwaga dotyczyć może sposobu wystawienia, zbyt przeciążonego efektami zewnętrznemi.

Skoro to dramat wewnętrzny, nie dający się uzewnętrznić przez rozłożenie na zespół, to należałoby skupić całą uwagę na bohatera i dać rysunek spokojny. Nie przekonywa mnie bowiem zarzut, że akcja jest wydłużona w linję dramatu wewnętrznego, tymczasem publiczność lubi dramaty według kanonu grecko-francuskiego, związane w zawiły supeł intrygi. Istnieje typ prawowity odmienny; przypomnijmy Wyspiańskiego „Wesele“, „Wyzwolenie“, „Akropolis“, „Kordjana“ Słowackiego, a dalej „Fausta“, choćby „Hamleta“.

Dobrze się stało, że przysiadł się do Cerwantesa duch poezji polskiej, mający w Miłaszewskim tak wybitnego rzecznika, dobrze się stało w czasach, gdy pobudki i cele pozornego rycerstwa zaczynają się i kończą w nizinach materjalnego kalkulu, gdy zbyt serjo jest brane „gubernatorstwo“ Sancza, a wyśmiewane prawdziwe rycerstwo. Posłyszeliśmy głos:

— Rycerstwo—podłości postrach, rycerstwo to też kapłaństwo!

Sztuka ta, jako widowisko sceniczne, ma tyle walorów artystycznych trwałych, że ostoi się w repertuarze, zwłaszcza gdy po doświadczeniu scenicznem i autor i resyserja udoskonalą jej wyraz zewnętrzny. Poszczęściło się Miłaszewskiemu, że trafił na aktora tej miary, co Maszyński. Z talentem łączy on szczęśliwie inteligencję. Rycerz jego istotnie smutną miał twarz, w oczach niebo, a nogi jak koturny. Grał Don Kiszota całem jestestwem. Sanczo p. Samborskiego był nieco przejaskrawiony. Wystawa wspaniała.

Z. W.

„WIELKI CZŁOWIEK“ FREDRY

MIECZYSŁAW Frenkiel znalazł sposobność roztoczenia uroków swego talentu w komedji Al. Fredry „Wielki człowiek do małych interesów“, wystawionej w teatrze Narodowym. Prawdziwa to uczta taki koncert świetnego odtwórcy postaci Fredrowskiej. Szkoda tylko — i tu żal pod adresem reżyserji teatru — że Frenkiel słuchany jest jak solista, gdy wartość sceniczna tkwi w symfoniczności zespołu. Darmoby Frenkla tłumić, należy otoczenie podnieść. Że to możliwe, mieliśmy dowód w tymże teatrze, gdy wystawił Fredrę Miłaszewski. Nie tyle chodzi o wielkość talentów, ile o gatunek roboty. Przykrość robi to, że każdy aktor gra z innej tonacji, jakby prób nie było i oka reżyserskiego. To właśnie wytwarza atmosferę teatru prowincjonalnego, gdzie dla wielkiego gościa wystawia się sztukę dorywczo. To nie dobrze.

SZTUKI PLASTYCZNE

W „ZACHĘCIE“

KWIETNIOWA wystawa w warszawskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych nie budzi większego zainteresowania. Zbiór obrazów p. Ireny Łuczyńskiej-Szymanowskiej, starannych pod względem rysunku, niekiedy natomiast brudnych w kolorze, nie potrafi—pomimo niewątpliwego talentu dekoracyjnego artystki—przykuć uwagi widza: zawiele w nich ulegania modzie, konwencjonalnej łatwizny, nieraz nawet szablonu, zamało rzeczywistych własnych przeżyć, własnego, osobistego na świat spojrzenia. Serja widoków tatrzańskich p. Stanisława Gałka budzi pełne niepokoju pytanie, jakim sposobem potrafi artysta wytrzymać w pejzażu tak beznadziejnie nudnym, tak dla niego zawsze jednakowym pod względem atmosfery, barwy, nastroju? Stowarzyszenie akwarelistów, poza kilkoma wspaniałemi wnętrzami Stanisława Noakowskiego, nie wystawiło nic godniejszego uwagi. Marjan Wawrzeniecki, sądząc z tematów jego kompozycji, zamierza po dawnemu przenosić widza w epokę średniowiecza, przenosi zaś — w znacznie bliższą i znacznie mniej szanowną, szczęśliwie minioną już epokę „secesji“. Kontrasty barwne, któremi z upodobaniem się posługuje, wywołują raczej uczucie przykrości, niż grozy.

Lepiej, niż zazwyczaj, przedstawia się tym razem t. zw. wystawa ogólna. Wymienić tu wypada: świetne studja Hucułów pendzla Michała Borucińskiego, pełne świeżości pejzaże Wacława Bielawskiego oraz większe zbiory prac Teodorowicz-Karpowskiej i Bukowskiego. Największą jednak atrakcją obecnej wystawy jest bodaj zbiór prac wybitnego grafika czeskosłowackiego Ferdisza Duszy. Pokrewny chwilami naszemu Skoczylasowi, jest Ferdisz Dusza talentem mocnym, szczerym, o wrodzonym darze kompozycji i sile wyrazu. Pięknym przykładem jego sztuki jest „Autoportret“. K. L.

NOWE KSIĄŻKI

Miłaszewski Stanisław. Don Kiszot. Fantazja sceniczna według Cerwantesa. Warsz. 1928. F. Hoesick.

Falski Marjan. Wyniki spisu dzieci z czerwca 1926 r. w zastosowaniu do badania potrzeb szkolnictwa powsz. Warsz. 1928 r.

Teichman Edward Józef. Polska w pikelhaubie Satyry współczesne. Lwów 1928. „Karlit“.

Brandstaetter Roman. Jarzma. (Poezje). Warsz. 1928. Gebethner i Wolff.

S. T. O. Poezje Wł. Arcimowicza, T. Bujnickiego, K. Halabardy, W. Korzbiewicza, Z. Landfisza, St. Sosnowskiego. Wilno 1928. Sekcja Koła Polonistów Słuchaczy U. W.

Miłaszewska Wanda. Kaczęta. Powieść. Poznań. 1928. Księg. św. Wojciecha.

Ruch Literacki, marzec.

Przegląd Współczesny, marzec.

Ateneum Kapłańskie. Włocławek, zesz. 3 (marzec).

Rolnik ekonomista. Warsz. Nr. 7 (z 1 kwietnia).

Firma Gebethnera i Wolffa wydała:

Miłaszewski Stanisław. Farys. Komedja romantyczna w 7 odsłonach.

De Henning-Michaelis E. gen. WP. Burza Dziejowa. Pamiętnik z wojny światowej 1914—17. Tom I.

Malczewski Rafał. Narkotyk gór. Nowele.

Szpotański Stanisław. Synowie klęski. Powieść historyczna.

Dębicki Tadeusz. Moienzi Nzadi. U wrót Konga. Z 10 ilustr. K. Mackiewicza.

Pigoń Stanisław prof. Autograf „Zdań i uwag“ A. Mickiewicza. Wilno 1928. Tow. Przyjaciół Nauk. S. 39.

Sikorski Władysław gen. dyw. Nad Wisłą i Wkrą. Studjum z polsko-rosyjskiej wojny 1920 r. Lwów 1928. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Do tego teka: 8 szkiców sytuacyjnych i 7 tablic.

Conrad Joseph. Opowieści zastrzerzone. Przełożyli T. ks. Sapieżyna i St. Wyrzykowski Warsz. 1928. Dom Książki Polskiej.

Osteuropa. Zeitschr. III Jahrgang. Heft 1. Berlin.

Strug Andrzej. Fortuna kasjera Spiewankiewicza. Powieść. Warsz. 1928. J. Mortkowicz.

Rogala Jan. Płomień, powieść. Warsz. 1928 Gebethner i Wolff.

Kleszczyński Zdzisław. Siostry Cleo. Nowela. Gebethner i Wolff.

Alberti Kazimierz. Tatry, narty, miłość. Warsz. 1928. Wyd. Hyperion.

De La Fayette. Księżna de Clèves. Przełożył Boy-Żeleński. Warsz. 1928. Wyd. „Alfa“.

Zahorska Anna (Savitri). Trucizny. Powieść współczesna. Z przedmową ks. arcybiskupa Teodorowicza. Warsz. 1928. Dom. Książki pol.

Sienkiewicz Henryk. Legiony. Powieść historyczna. Wyd. nowe. Lwów 1928. Zakład Nar, im. Ossolińskich.

Grabski Stanisław. Ekonomja społeczna. V. Rynek. Lwów Zakład Nar. im. Ossol.

Zieliński Stanisław. Niemcy w r. 1926. Sprawozdanie ekonom. Konsula gener. Rzplitej w Berlinie. Warsz. 1927. Spraw. ek. nr. 8 S. 174.

Przegląd Powszechny, marzec.

NA MARGINESIE

Znamieniem naszych czasów, że nam na Wielkanoc Żydzi wygłaszają kazania o Zmartwychwstaniu, pisząc w dziennikach, przy rządzie Rzplitej stojących. Artykuł uroczysty o Zmartwychwstaniu pisze w „Epoce“ p. Grosstern w ten sposób oczywiście, że nie wymienił imienia Tego, który zmartwychwstał. Jedno tylko imię wymienił, Andrzeja Struga, wielkiego mistrza warszawskiej loży wolnomularskiej, aby przytoczyć, jak ewangelję, jego słowa o „dumie, która ma uderzyć w polskie serce“. Czy to jest konieczne, żeby nas międzynarodówka żydowska uczyła patrjotyzmu?

* *

„Specjalista“ od polityki zagranicznej w „Głosie Prawdy“, p. Florjan Sokołow, występuje gwałtownie przeciwko polskiej „prasie nacjonalistycznej“, ostrzegającej opinję publiczną przed odwetowemi planami Niemiec. Niepokój z powodu przyśpieszenia opuszczenia Nadrenji przez wojska francuskie — te według pogodnie usposobionego publicysty „Głosu Prawdy“ „obawy mało dusznych“, „zupełnie bezzasadne zdenerwowanie“.

Cóż dziwnego? P. Florjan Sokołow, wobec niebezpieczeństwa grożącego zachodnim granicom Polski zachowuje tę samą równowagę ducha, z jaką my odnieślibyśmy się do np. kwestji całości terytorjalnej — Palestyny.

*

Jeden z konserwatywnych ideologów Jedynki, redaktor wileńskiego „Słowa“, poseł Mackiewicz na marginesie ujawnionej faktami polityki sanacyjnej wypisał w wywiadzie do żydowskiego „Nowego Dziennika“ takie wyznanie:

„Jesteśmy (t. zn. cały Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem) za najdalej idącem usamodzielnieniem samorządów żydowskich. Co do mnie osobiście, doszedłem do przekonania, że kierunek reprezentowany przez asymilację zbankrutował doszczętnie. Zwyciężył zaś na całej linji kierunek narodowy w żydostwie i z tym faktem polska racja stanu musi się raz na zawsze liczyć. Jesteśmy za nadaniem pełni praw Żydom. A więc przedewszystkiem autonomja narodowa w najszerszym zakresie, zorganizowanie szkolnictwa żydowskiego wedle własnego uznania żydowskiego społeczeństwa. Ja osobiście idę dalej jeszcze od programu wysuwanego przez koła narodowo-żydowskie. Uważam, że Żydom należy pozostawić urzędy sędziów pokoju, czy też sędziów handlowych pierwszej instancji. Jednem słowem, Żydom powinniśmy stworzyć warsztat kultury narodowej w całem słowa tego znaczeniu“.

I powiadają, że sanacja nie ma programu!

*

Dziennik „Głos Prawdy“ (nr. 93) określa rząd obecny jako „Rząd świadomej swego celu elity, pragnącej krwią i trudem prowadzić Państwo ku lepszej przyszłości“...

Trochę nietaktowne wydaje się to wyrażenie o „krwi“...

*

W „Wiadomościach Literackich“ (nr. 14) w rubryce „Polska zagranicą“ zamieszczono następującą wiadomość:

— „*Le Journal de Peuple*“ z dn. 17 marca b. r. cytuje fragment z artykułu Klingslanda o Kislingu..“

Pojęcie „Polska“, jak widać, staje się coraz szersze, coraz bardziej nieokreślone.

BŁĘDY DRUKU.

W nr. 10 „Myśli Narodowej“ w artykule K.L. Konińskiego „Między najezdnikiem“... na str. 128 szp. 2 wiersz 20 od dołu ma być: „Nadzwyczajność nasza nie ma... Str. 129 szp. 1 w. 26 od dołu ma być: „marzeń o życiu 1 wiem“... Tamże w. 5 od dołu po wyrazie „kwiat“ opuszczono: „który“.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM